Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

P.

Cena 10 zł.

wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

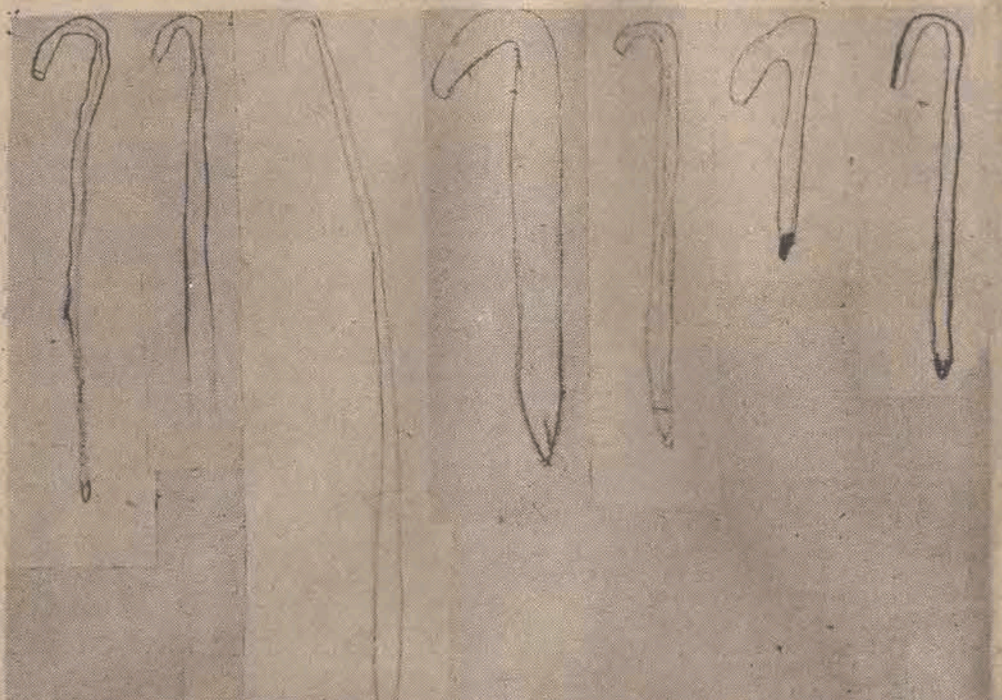
Rok IV Łódź, 7 grudnia 1947 r. Nr 47 (126)

W NUMERZE:

Jan Aleksander Król

ZADANIE DLA WICIARZY

(list otwarty do Stefana Ignara, prezesa ZMW RP „Wici")



Drogi Stefanie!

Piszę do Ciebie z wiejskiej szkółki. Te laski, które oglądasz na ilustracji, to dzieło pierwszej klasy, z pierwszych dni września. Najłatwiejsza, wstępna próba — **laski.** Ile w nich dziecięcego wysiłku, ile równocześnie indywidualnego wyrazu. Rozsiadłem się w tej pierwszej klasie. Tu się przecież zaczyna „kształcenie". Po latach ci rysownicy, dziś nieporadnych lasek, będą rządzić Polską, budować jej naukę, przemysł i rolnictwo. Jakże olbrzymią przemierzą drogę intelektualnego i społecznego rozwoju. Wiemy, że jest to możliwe. Nie umiem powiedzieć Ci, jakie treści doświadczenia społecznego wyrażają się w tych rozmaitych kształtach lasek? Jedno jest pewne, że już u tych siedmiolatków są one i — jak widzisz — różne.

Gdybyś tu był, powiedziałbyś — oto zagadnienie! W tych szkrabach jest przeszłość społeczna wsi i przyszłość narodowa. Z przeszłości te różnice i jakąś ich poczesną część szkoła musi usunąć. Bo już w tych kulfonach i zakrętasach kryją się nie tylko odmiany reaktywności psychicznej i uzdolnień, ale właśnie **typologia doświadczeń społecznych.** Te dziwne laski to reprezentantki różnych orientacji i postaw społecznych. Nieczytelne dla nas, prawie, jak egipskie hieroglify. Ale jakże czytelna była już dla mnie odpowiedź dzieci dziesięcio i dwunastoletnich z „Domu Dziecka". Po drugiej stronie drogi, za kościołem i plebanią, hrabiowski pałac. Chłopskie i robotnicze dzieci przebywają tu po sześć tygodni. Dom Dziecka czynny jest przez cały rok. Pytałem je — czyj to pałac? Odpowiedziały — pani kierowniczki! Ta fałszywa wiedza, to jeden z elementów budujących ideologię, jakiej wieś ani chcieć nie może, ani nie powinna. Stefanie, wręczałem parę dni temu ministrowi oświaty podanie kandydata na Wydział Lekarski. Syn chłopski z 1,5 ha, był w partyzantce, założył dwie spółdzielnie, jest współprojektodawcą szpitala wiciowego w Kazimierzy Wielkiej. Podanie rozpoczyna się od słów: **Uprasza'n** Pana Ministra... Pytałem go dlaczego tak? Bo tak jest z **uszanowaniem.** Mówi to 24-letni maturzysta. Jaka to „laska"? Oryginalna, niewątpliwie. Ale czy w tym się wyraziła indywidualność, czy fałszywa ideologia?

Niepewna siebie postawa do nowej rzeczywistości. Złe jej rozumienie, zły w niej udział — działacza.

GŁOS NAUCZYCIELA

Wieczorem u młodego nauczyciela pod lampą naftową czytamy Twój artykuł w „Wiciach", jaki się ukazał po „Umowie o współpracy" młodzieżowych organizacji (OM-TUR, Wici i ZWM). Młody nauczyciel jest ambitny i zapalczywy. Zapisał się na socjologię w Łodzi. Niech pan czyta — wskazuje mi zakreślony ustęp w Twoim artykule.

„Młodzież śmieje się z werbalnych idei, szuka i żąda treści **dzisiejszego życia. Formy prac organizacyjnych** ulegają gwałtownym **przeobrażeniom.** W dyskusjach moralistyczno-ideowych zabierają głos ludzie starsi, którzy nie zdołali strząsnąć staroświeckiego rynsztunku jałowych filozofii. Młodzież chce **się uczyć**, zdobywać zawód, chce odbudowywać Polskę z ruin i tworzyć **nowe życie**".

Podnoszę głowę — „Słusznie napisał". Nauczyciel wyciąga z półki IV-ty tom „Młodego Pokolenia Chłopów" i moje „Drogowskazy".

Tak — mówi wreszcie — ale tu jest jedna nie załatwiona sprawa. Nowy program i nowe podręczniki wprowadzą młodzież szkolną w **treść dzisiejszego życia**, ale ponad nią w organizacjach znajduje się młodzież starsza, wychowana w dawnej szkole i ze swoją oceną i programem szkoły wiejskiej. Pan wie, jaka to ocena i jaki program? Pan w „Drogowskazach" poddał krytyce przedwojenne Uniwersytety Ludowe i Koła Wiciowe. Pokazał pan związek pomiędzy Wiciami i U. Ludowymi i dalej z ideologią ludomanów. Pokazał całą tę koncepcję obrony „wiejskości", o której Ignar pisze zgodnie, że „to przestarzałe treści etnograficzno-parafialne, kultywowane sztucznie przez zdeklasowaną inteligencję chłopską". A ja panu wskażę jeszcze jeden związek: **Szkoły — Wici i U. L.** O, tu ma pan czarno na białym. W czwartym tomie Chałasińskiego „O chłopską szkołę", niech pan czyta te masowe wypowiedzi młodych chłopów, jakiej chcieli szkoły? Reforma Jędrzejewiczów wzmocniła gettowy charakter szkoły wiejskiej. Młodzież wiejska protestuje wówczas i wysuwa swój projekt, który był niestety projektem **stanowej szkoły.** Ładna poprawka, co? Od takiej szkoły wiodła droga tylko na chłopski uniwersytet. Oto początek i koniec wiedzy. Oto początek i kraniec rzeczywistości społecznej. Poco ja to mówię? Jestem nauczycielem. Daję elementarne, podstawowe wykształcenie. Z mojej, nowej szkoły droga prowadzi na Polskę. Ale ta szkoła nie znajduje się w próżni. Mam wokół niej rodziców uczniów, stare pokolenie, mam plebanię, mam dzieci nie objęte szkołą. Nasza sieć jeszcze nie opanowuje sytuacji. Brak wielu ogniw, walka z analfabetyzmem nie ukończona. Mam młodzież starszą w Wiciach, z dawną, stanową koncepcją szkoły...

Czego ja chcę? Tu się trochę gubię. Jakby to panu powiedzieć? Myślę, że dla gwałtownego — jak pisze Ignar — **przeobrażenia form organizacyjnych prac młodzieży** konieczna jest jeszcze jedna rewizja — **jej stosunku do programu i funkcji szkoły powszechnej.** I tego trzeba dokonać praktycznie. Wiciarze muszą wrócić do szkoły wiejskiej. Pan wydaje się być zdziwiony. Ja sięgam do uniwersytetu a moi koledzy nauczyciele mają siedem klas szkoły powszechnej. Zapewniam pana, świetny element. Czekają ich kursy. W przeciągu kilku lat będą „kwalifikowanymi" nauczycielami. Nie ulękli się. Awans kulturowy osiągają w działaniu wychowawczo-społecznym. Otóż, Wiciarze winni wrócić nie na ławę szkolną, ale do stolika nauczycielskiego. Znów pan się dziwi. Nie do państwowej szkoły, to może potem, część z nich. Muszą wrócić do improwizowanej klasy w chłopskiej chałupie, czy w obejściu podworskim. Muszą nam, oficjalnym nauczycielom pomóc. Z nami razem rozegrać bój z analfabetyzmem. Ucząc dzieci i starszych, będą siebie uczyć i reformować. Teraz pan mnie zrozumiał?

Co jest trzonem „Wici"? Wychowawczo-ideowe zadania. Przed wojną Wici były wszystkim. To pogłębiało dyletantyzm. Nowa rzeczywistość parzeluje wszystko, co stanowiło **przerosty Wici**, a co dawało organizacji złudne przeświadczenie, że zawiera **pełnię życia chłopskiego,** i że ono może być wyłączone z szerszych procesów społeczno-gospodarczych. P. R. W. i pion szkół rolniczych anektują dziś wiciowe peery, ZSCh i związki branżowe anektują wiciowe marzenia spółdzielcze. Gimnazja zawodowe i ogólno-kształcące spychają na bok tradycyjne Uniwersytety Ludowe — otwiera się droga dla techników, inżynierów, lekarzy, których „magia" nie będzie wytwarzała narkotyków dla zrozpaczonej wyobraźni młodzieży, ale ulepszała rzeczywiście warunki egzystencji i pracy na wsi.

Czy Związek Samopomocy Chłopskiej, Ministerstwa — Rolnictwa, Oświaty i Przemysłu miały stać się sekcjami składowymi Wici? Byłby to absurd. Stało się jasne, że Wiciarze na Wiciach poprzestać nie mogą. Że Wici winny naładowywać młodzież taką ideologią, która pozwoli jej rozbiec się na jak najszerszy front prac, funkcji i instytucyj. I na tym polega funkcja społeczna tej organizacji. Dlatego, moim zdaniem, skurczyły się zakresy jej prac, ale w tej jednej, podstawowej roli wychowawczo-ideowej rozszerzył się zakres treści. Rozszerzył, bo trzeba młodzież mobilizować do spółdzielczości, do PRW, do specjalizacji zawodowych. Kiedy ona pójdzie, tamte instytucje i szkoły pogłębią ją fachowo, czego Wici nie mogłyby nigdy osiągnąć. Wracam do mojej myśli. Ci, co z Wici czynią trwale istniejącą organizację, to oświatowcy i wychowawcy. I niechżeż mi pan odpowie, czy nie jest wobec tego konieczne ich spotkanie ze szkołą? Tu musi się dokonać **konfrontacja wiedzy i ideologii nowej szkoły i „starych" wiciarzy.** Przed wojną od filozofii ludomanów przez Uniwersytety Ludowe i Wici szła droga do „chłopskiej szkoły". Był wtedy inny ustrój, inna rzeczywistość polityczno-gospodarcza.

Czy dziś od nowej szkoły, czy od „chłopskiej szkoły" ma iść nadanie wychowawczo-ideowe w górę? Wici i w tym — najbliższym sobie punkcie — muszą dokonać ostatecznej rewizji.

„CHŁOPSKA SZKOŁA"

Stefanie, otwórzmy IV tom „Młodego Pokolenia Chłopów". Rok 1937. Wyście już w „Chłopskim życiu gospodarczym" dwa lata wcześniej sygnalizowali, że wieś dosięga dna katastrofy społecznej i gospodarczej, katastrofy, której pierwsze wstrząsy dał odczuć wsi kapitalizm już w XIX w.

Wyście pisali o 8 milionach „ukrytych" bezrobotnych na wsi, o powszechnym hipotecznym wyzuciu z ziemi chłopów. Dno katastrofy!

Równolegle odsłaniała się katastrofa oświatowa. „Przyszli obywatele państwa hodują się na pastwiskach, a jest ich milion... rośnie milion dzieci bez szkoły". Reforma Jędrzejewiczowska obrywa dwuklasówce w 75 procentach piąty oddział. Trzyklasówce w 26 procentach, a czteroklasówce w 50 procentach — oddział siódmy! Od r. 1932 do 35 liczba jednoklasówek (na ogólną liczbę szkół) powiększa się z 40 % na 50%. W ostatnich latach II-giej Rzplitej na uniwersytetach młodzież chłopska spada z 4 do 1%.

Wyraża się w tym procesie prosta zależność od gospodarczo-społecznego dramatu wsi, ale też i coś więcej. Świadome odcięcie wsi od wyższych szkół, świadome przyciemnienie „kaganka" oświaty powszechnej. Bo ci, co znaleźli się na dnie katastrofy, nie powinni sobie z tego zdawać sprawy. Jeśli będą wiedzieć — ważą się na wszystko. Bunt, rewolucja — to ich nieunikniona, wściekła, ostateczna reakcja.

Stefanie, w r. 1936 wygłasza prof. Wł. Grabski na naradzie w sprawie kultury wsi referat pt. „Wieś jako siła społeczna". (Na naradzie dojrzał projekt utworzenia Instytutu Kultury Wsi; Prof. Grabski został Prezesem Rady Naukowej Państwowego I. K. W.).

Cóż mówił Prof. Grabski? „Ambicją młodych, nawet tych, co najbardziej wybujali, **nie jest tworzenie nowego życia** na wsi **poprzez zburzenie istniejących stosunków realnych,** a odwrotnie — ambicją ich jest dokonać **w granicach rzeczywistości wsiowej** coś nowego, lepszego **własnymi siłami,** własną pracą rzeczową, **własnym pomysłem** i wysiłkiem... bez **negacji samych podstaw życia wsi... nie czekając cudów i zbawienia z zewnątrz".**

„Stosunki realne", „rzeczywistość wsiowa", „podstawy życia wsi" wyrażały dno katastrofy chłopskiej w kapitaliźmie. A prof. Grabski zalecał właśnie oprzeć się na nim. Nie próbować negacji i zburzenia istniejących stosunków realnych. I nie oczekiwać „zbawienia z zewnątrz". **Na dnie** — „własnymi siłami", „własnym pomysłem". Prof. Grabski dawał wyrafinowaną lekcję o **konieczności przywiązania się do dna.**

„Nie uwierzą w wieś ani dostojnicy państwowi, ani szerokie sfery inteligencji, jeżeli nie uwierzy w wieś sama ludność wiejska". W wieś skrajnej nędzy, zacofania technicznego, w wieś bezsilną politycznie i odciętą od oświaty. Prof. Grabski nie miał nic przeciw **klasowości** „która wypływa z silnego, może nawet egzaltowanego poczucia **odrębności układu życia wiejskiego,** poczucia własnej **godności i siły".** Krótko mówiąc, nie miał nic przeciwko **stanowemu** izolowaniu się i zamykaniu w sobie warstwy chłopskiej. Ten proces obserwując i do niego zachęcając mógł powiedzieć imieniem rządu „Spośród różnych grup społecznych nie ma w całym społeczeństwie takiej, któraby lepiej **harmonizowała** z dobrem państwa i narodu, jak grupa wiejska" Straszne! Ale to dopiero prolog.

Stefanie, posłuchajmy teraz głosów młodzieży chłopskiej. Przypominam — r. 1937. „Reforma szkolna z 1932 r. **boleśnie dotknęła wieś"** pisał jeden z nich. Musiała. Była co prawda przysłowiową kroplą nadmiaru, dzięki której uświadomił się młodzieży cały ogrom **klęski pokolenia. Prof. Mysłakowski,**

Spółdzielczość dla kultury i sztuki...

Na Kongresie Spółdzielczym, jaki odbył się w tych dniach, został uchwalony wniosek delegata Spółdzielni ZSCh z Włoszczowy, posła Mariana Kubickiego (redaktora „Myśli Chłopskiej") następującej treści:

II-gi Walny Zjazd Delegatów Związku Gospodarczego Spółdzielni R.P. „Społem" zatwierdzając podział nadwyżek, w poczuciu potrzeby zwiększenia wysiłku całego narodu nad podniesieniem poziomu kultury i sztuki jako głównego instrumentu w odbudowie człowieka w Polsce, przekazuje z funduszu a) (zasoby) końcową sumę 6 mil. 971 tys. 787 zł i 90 gr na nagrody literackie, plastyczne, muzyczne i naukowe.

Walny Zjazd delegatów zaleca w przyszłych latach gospodarczych przyznawanie analogicznych sum na te cele, dla stworzenia stałego mecenatu społecznego.

Celem podziału i przyznania nagród Walny Zjazd poleca Radzie Nadzorczej opracowanie odpowiednich statutów nagród w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz ze związkami artystycznymi jak Związek Literatów, Plastyków, Muzyków, Akademia Umiejętności lub innymi towarzystwami naukowymi.

mówiąc o rozwoju osobowości, wskazuje na jego trzy fazy — dzieciństwo jako okres wrastania w grupę „swoich" (rodzina), w drugiej fazie — inni, „obcy" i uregulowanie stosunku do nich, w trzeciej i ostatniej — wrastanie w świat **coraz szerszych wytworów oraz grup społecznych**". W razie nieudania się regulacji na jakimkolwiek stopniu, dalsze wrastanie w rzeczywistość społeczną ulega zahamowaniu... Oznacza to zawsze klęskę... **Innej drogi przed jednostką wogóle nie ma.** Wszystko inne jest albo otwartą klęską, albo maskowaniem jej **przy pomocy rozmaitych fikcji**". Młode pokolenie chłopskie nie weszło przed wojną w naród ani na drodze awansu społecznego ani kulturalnego. To była straszna klęska.

I z perspektywy tej klęski trzeba widzieć jego cofanie się do wewnątrz warstwy chłopskiej jako wtórny **skutek zahamowania dążenia** tej młodzieży do unarodowienia się.

Zaczyna się **maskowanie klęski.** To znaczy utrwalanie jej! Stefanie, przysłuchaj się tej litanii złorzeczeń na szkołę. Niech Cię tylko nie uwiodą żądania pełnej 7 klasówki na każdej wsi. Nie było jej i nie miało być. Krytyka tych młodych wypełnia się programem, który wywracał sens i 7-mio oddziałowej szkoły.

Dno ekonomicznej i społecznej katastrofy wsi daje o sobie znać; jak wyżyć na dnie? Z tego pytania rodzą się pomysły zreformowania szkoły. Te pomysły a priori akceptują sytuację dna. Więc będziesz miał w pierwszym rzędzie falę recept, przystosowujących szkołę do gospodarstwa rolnego. Gospodarstwa nędznego, nie stechnizowanego, osamotnionego, z nadmiarem rąk wieloosobowej rodziny. Czego szkoła ma uczyć? Uprawy roślin, od kwiatów do ziół leczniczych, (na sprzedaż) ogrodnictwa, warzywnictwa (lepsze odżywianie — „ozdoba chaty rolniczej") botaniki rolniczej, wyrobu drobnych sprzętów gospodarskich, sporządzania „nakazów płatniczych" czy innych pism urzędowych.

W tej najbogatszej grupie uderza, iż równolegle reformatorzy żądają obszerniejszej nauki religii, posiadania książki do nabożeństwa, umiejętności pacierzy, godzinek, pieśni nabożnych, „skreślenia z programu x i y, bo to nic w gospodarstwie nie daje", poco wiedzieć „jak Neron męczył swych podwładnych, lepiej niech będzie lekcja rachunków (dla buchalterii domowej) przyroda, uprawa roślin i płodów".

Szkoła projektowana odcina się od wyższej wiedzy. Wartość hierarchicznie rosnących stopni tego samego pionu zostaje podana w wątpliwość i odrzucona (historia, matematyka, a nawet rolnictwo). Następuje zbliżenie pomiędzy tym ciasnym praktycyzmem a magią i religijną tradycją życia rodzinnego i gromadzkiego.

Trzeba się dobrze przyjrzeć tej tragicznej szarpaninie o nieuchronnym wyniku klęski. Oczywiście — nie wycinanki! Ale czy nauka „prawidłowego dojenia krów"? Oczywiście, że spółdzielczość ważna, ale czy ofiarą jej ma paść historia? Oczywiście, że nie szlachecka, zafałszowana historia, ale czy na to miejsce tylko „historia chłopów", uczenie się **„swej historii"**? „Świat teraz podzielony na dwie części, na krew błękitną i ciemną". W tej skali miałaby się znaleźć „swoja historia"? Czyżby to nie była inaczej ale znów fałszywa historia i ubezradniająca właśnie chłopa? Błękitna krew zdążyła się od 100 lat zaróżowić burżujską, nie tyle przez związki małżeńskie, co przez wspólną pozycję posiadających i władających w strukturze rozwijającego się kapitalizmu. Brak tej świadomości u młodzieży jest zastraszający. Odcięto ją od narodu, od praw, dobrobytu i wiedzy. Skolei ona buduje „wiedzę dla wsi a nie na wynos", tzn. wiedzę, której brak narzędzi i metod do poznania i zrozumienia świata poza krzyżem na rozstaju. Nazywa się to wiedzą **„do życia bardziej chłopom odpowiedniego"**.

Władysław Grabski chciał **„poczucia odrębności układu życia wsi"**. Projekty młodych tę odrębność warstwy wypracowywały. A warstwa społeczna — jak pisał prof. Rychliński — „jest wytworem **konserwatyzmu** społecznego, który w jaskrawej postaci występuje w **stanach** tj. warstwach ukonstytuowanych przez przywilej prawny, oraz w **kastach**, w których mit religijno-etniczny waruje odrębność i nienaruszalność hierarchiczną". Tym razem utrwalał się konserwatyzm warstwy, skazanej odgórnie na pozostanie warstwą. Jędrzejewicze oberwali szkole powszechnej pułap — 7 oddział, a był on stopniem wiążącym wieś z wyższymi studiami, pomostem do władzy, wiedzy, techniki, kultury. Projekty młodych chłopów jeszcze bardziej obniżyły pułap szkole powszechnej, czyniąc z niej pół-rolniczą. Wyraziło się w tej reformie świadome odwrócenie szkoły od miast, od innych klas, od narodu. Taka szkoła cyrkulować miała po wewnętrznym unerwieniu, uwięzionym w „organizmie warstwy chłopskiej".

W tej szkole miano w konsekwencji szerzyć zamiłowanie do „swej odrębnej kultury ludowej" (śpiew, czytanki historyczne, opisy wsi, tradycyjne zwyczaje — nauka przyrody, bezpośrednio z praktyką rolną). Bardzo konsekwentna ideologia „tabaki w rogu"!

Z pozoru rozszerzało ją Kółko Rolnicze K. M. W., Spółdzielczość — do czego szkoła miała również dzieci przygotowywać.

„Słowem nasze szkoły na wsiach winny mieć coś z charakteru uniwersytetów ludowych". Ta sama zatem zasada samowystarczalności „wiedzy wiejskiej", zatabaczała i zamieniała w kramiki i kółka zabawowe organizacje, które miały w założeniu wieś podnieść ekonomicznie, nadać jej wyższą organizację społeczno-gospodarczą i ideologię, rozbijającą i demaskującą ideologię klas panujących.

Koncepcja zamkniętego świata i wyłączonej gospodarki kulturalnej nabiera w wypowiedziach młodego pokolenia chłopów **maniakalnej obsesji.** Przestrzega się „aby nikt nie odpadł z chłopskiej gromady na jakimkolwiekby nie był poziomie". A przez iluż te wyższe poziomy zostały osiągnięte? Od gromady nie odpadało się, bo nie było dostępu nie tylko na wyższe poziomy, ale nawet i zapotrzebowania na rynku robotniczo proletariackim. Tragiczna prawda — to 70% ludności, duszącej się na wsi. A samobójcza fikcja — to złudzenie, że nierozproszenie się tego skłębionego rojowiska będzie wartościowym osiągnięciem społecznym. Ileż, Stefanie, wyczytasz haseł wyrażających koncepcję szkoły, „w której chłop mógłby się uczyć, nie przestając być chłopem". Roją się pomysły „gimnazjów specjalnie dla wsi", o programie „całkowicie dopasowanym do społecznego życia wsi i wychowującego człowieka wsi a nie rozparzeńca". Rozparzeniec poszedłby w pany, a „człowiek wsi" zostawał nadal lojalnym niewolnikiem, dobrowolnie podtrzymującym ustrój nierówności klasowych.

Ta obsesja chłopskości żłobi ślepe uliczki specyficznej, **warstwowej wiedzy**, u jej końca i szczytu zarazem stoi Uniwersytet Ludowy.

Prof. Chałasiński tak streszcza ocenę U. Ludowych, zawartą w wypowiedziach ankiety (M. P. Ch.).

„Jedną z dróg wyjścia z tego rozpaczliwego stanu (gospodarczo-społecznego) widzi młodzież we **wzmożeniu oświaty przede wszystkim.** Oświata bowiem to główny oręż w walce o demokrację gospodarczą, polityczną **i o** nową kulturę. Dlatego młodzież postanowiła **wydrzeć uprzywilejowanym dostęp do władzy** i tworzy własnym wysiłkiem ośrodki wiedzy — uniwersytety ludowe".

Niestety, ślepe uliczki! Na poziomie U. L. **wzmożona oświata?** Dostateczna, by **wydrzeć uprzywilejowanym władzę?** Tak trafna i głęboka w analizie historyczno-społecznej, politycznej i gospodarczej?

Stefanie! Ty wiesz, co U. L. wytworzyło. Była to **resztówka** wiedzy pańskiej, jaką można osiągnąć na wsi, **zamienionej celowo z zewnątrz w stan chłopski, a od wewnątrz utrwalającej stanowość.**

Ten kto jechał na U. L-wy nazywał siebie „dzieckiem upośledzonej wsi". Myślałbyś, że przybędzie do sztabu rewolucyjnego, gdzie go nauczą, jak się **wydziera uprzywilejowanym władzę**, że mu wyznaczą zadanie w przygotowaniu przewrotu. Że posłyszy oceny **jednoznaczne**, uświadamiające **klasowo i rewolucyjnie**, tak jak u was się pisało w 1936 r.: „Współpraca z **innymi** ugrupowaniami jest potrzebna i konieczna, lecz z takimi, które odpowiadają nam ideowo i dążą do podobnych zmian, do zniesienia wyzysku, do **zmiany ustroju**, lecz nigdy prawicowe, konserwatywne, choćby również demokrację na swych sztandarach wypisały, Bogiem i katolickością się zasłaniały".

Albo — „Wiele jest po wsiach sklepików, które ledwo dyszą, mimo to są one podporą **dzisiejszego ustroju kapitalistycznego**, są tą najdalszą macką, którą fabrykant i wielki kupiec dociera do kieszeni chłopa".

Albo — „cała robota endeków, to obrona dzisiejszego ustroju kapitalistycznego".

Tymczasem wyznania wychowanków U. L. brzmią zgoła inaczej. „U. L. wzmocnił mój **charakter**, uszlachetnił i **pokrzepił duszę**, odrodził mnie, odnalazłem **siebie samego**".

„Otworzył oczy do szerszego patrzenia na świat i życie ludzkie, tam poznałem **czym jest człowiek, czym jestem ja**".

„Nabrałem wiary w życie, bo tam poznałem dopiero jego cel daleki, który się nie kończy z pojedyńczym życiem człowieka, lecz jest ciągłym dążeniem do doskonałości Bożej".

Ta metafizyka miała być **wzmożeniem oświaty**, bronią do **wydarcia uprzywilejowanym władzy?** Pokrzepiała duszę, dawała wiarę w **życie**, tzn. **optymistycznie asymilowała** z „istniejącymi stosunkami realnymi", jak mówił prof. Grabski, ale za cenę przesunięcia punktu ciężkości z odpowiedzialności wobec siebie, jako członka klasy walczącej, na odpowiedzialność wobec siebie, jako osobowości moralnej. W kategoriach prof. Mysłakowskiego, znaczyłoby to: zahamowany przez kapitalizm proces włączania chłopów w szerszą grupę społeczną — naród i narodowo-światową strukturę cywilizacyjno-kulturową, doprowadził do cofnięcia się młodzieży na pozycję stosunków ze swoimi. Oczywiście, u dna katastrofy próba walki o uniedostępnione pozycje mogła się odbywać tylko na drodze rozwoju świadomości **klasowej**, a nie **stanowo-warstwowej;** świadomość klasowa otwierała perspektywy powiązań z innymi środowiskami — z klasą robotniczą, z inteligencją radykalną, ze światowymi ruchami i prądami postępu. Tylko świadomość klasowa mogła dać naprawdę wiedzę szerszą, awansującą kulturowo młodzież, wiedzę o rzeczywistości historyczno-społecznej kraju, świata i właściwie określić położenie wsi.

Tego Uniwersytety Ludowe nie dokonały i nie mogły, skoro stanowiły ogniwo, zamkniętej, warstwowej wiedzy. Cofnięcie się na pozycję „swoich" dało w formie kompensacji „nieosiągniętego", wzmocnienie **moralistyczne odpowiedzialności jednostkowej** wobec chłopów (polepszony charakter, uszlachetnienie, zgłębienie istoty człowieka, religijno-parafialna dyrektywa postępowania sąsiedzkiego).

Został w ten sposób ożywiony solidaryzm z warstwą, aż do nadania jej stanowych form egzystencji, wykluczony tym samym motor dynamiki przeobrażeń społecznych — klasowość.

Dlatego wychowankowie UL-wych słusznie piszą (M. P. Ch.), że właśnie dzięki tym uczelniom „młodzież przestaje żyć złudzeniami... że wystarczy mieć chociażby cząstkę władzy w rękach, aby pomyślnie rozwiązać trapiące ludzi dolegliwości". Opowiada się przeciw **politycznemu** określaniu rzeczywistości społecznej i politycznej drodze przemian. Przeto mając do wyboru z jednej strony nawoływanie do organizowania się, celem podniesienia dobrobytu **uciążliwą i długą pracą kulturalno-oświatową**, z drugiej przez obiecane bezpośrednie korzystanie z **dóbr prędkiego wydźwignięcia się na wyższy poziom społeczny** — rzecz zrozumiała, że wieś chętnie się garnie do tej drugiej propozycji i myśli. Przed tą drugą myślą wychowankowie Uniwersytetów Ludowych, organizatorzy warstwy i stanu chłopskiego — konsekwentnie **ostrzegają!**

WICIARZE!

Stefanie! Miał rację młody nauczyciel. „Każdorazowe granice i formy rozwoju jednostki — jak mówi prof. **Mysłakowski** — są wyznaczone przez obiektywne czynniki, stanowiące sytuację historyczną danego pokolenia, wśród danej społeczności, w danym kręgu cywilizacyjnym". Granice ustroju przedwrześniowego nie tylko spychały wieś do pozycji stanu, ale wyznaczały naturalny od wewnątrz rozwój stanowości na wsi. Było to klęską pokolenia, przez nie nadomiar utrwalaną. Nowy ustrój otwiera młodzieży dostęp do trzeciego etapu rozwoju osobowości: do narodowych i światowych wytworów kultury oraz do całego narodu i społeczeństw kroczących po drodze postępu. Nowy ustrój daje zatem młodzieży szanse **poszerzenia osobowości.** Dawny personalizm moralistyczny był nie osiągnięciem a **niedorozwojem osobowości**, wyłączonej z życia narodu, i z dynamiki rozwojowej klas walczących o lepszy porządek w kraju i świecie.

Fakty jakie wokół nas zachodzą, są dwojakiego rodzaju. Jedne ukazują wciąż jeszcze owo **dno chłopskiej i robotniczej katastrofy** sprzed wojny i lata całe będziemy sygnalizować remanenty tego dna, drugi gatunek faktów mówi o gwarancjach struktury ustroju, gwarancjach jakie daje ona dla wyjścia z dna nędzy i upośledzenia społecznego masom ludowym.

Zmieniły się i przesunęły „granice rzeczywistości wsiowej". Kiedy o nich mówił prof. Grabski w 1936 r., granice te były ściśnięte obcęgami krajowego kapitalizmu obszarniczego i przemysłowego i wrysowane jako granice półkolonii (wraz z całą Polską) na mapie obszarów posiadania ekonomicznego i politycznego kapitalizmu pan-światowego. Te okowy zostały zrzucone. Masy ludowe stwierdzają jedność społeczną narodu, bo widzą ją teraz w bezklasowej jedności świata ludzi pracy. Ten cel, założony przez ustrój, stoi przed nami do wykonania. I już się staje, już się coraz wyraźniej zarysowuje.

Sięgają do wsi wspólne dla całego narodu piony. Nie mizerny praktycyzm rolniczy, skazany na wieczną samowystarczalność, ale od PRW, przez szkoły rolnicze (reformowane — szkoły agrotechników wiejskich, gminnych itd.) do liceów akademii rolnej, uniwersyteckiej chemii, biologii i politechniki. Nie sklepiki spółdzielcze i spółki zarobkowe, ów „marginesowy kapitalizm dla mas" — ale jednolita spółdzielczość — składowy czynnik ustroju gospodarczego i społecznego ludowego państwa. Nie „chłopska szkoła" stanowa, ucząca żyć „do życia chłopom bardziej odpowiedniego", ale szkoła — fundament jednorodnej kultury i samowiedzy narodowej. Nowa szkoła staje się nadto jakby reflektorem, ukazującym całą rzeczywistość polską w pełnym świetle. Lampą magiczną zapowiadającą dziecku świat przyszłych jego podróży intelektualnych, estetycznych i pracowniczych, świat przyszłego awansu społecznego i kulturalnego. Bo cała nowa rzeczywistość polska należy dziś do wszystkich. Należy przez troskę i radość, przez współudział w jej budowaniu.

Są dwa powody, dla których pomysł młodego nauczyciela winien stać się **zadaniem dla całego Związku MW „Wici"**.

1) Trwa jeszcze analfabetyzm na wsi, dziedzictwo przeszłych stosunków społeczno-ustrojowych. Bo skoro droga awansu społecznego przez wiedzę była dla mas niedostępna prawie, a z reguły bardzo utrudniona, to i najniższe jej stopnie nie mogły być w cenie. Nigdy wartości bez perspektyw nie są wartościami! Ten dobrowolny w niemałym stopniu regres wsi od oświaty był świadectwem jej beznadziejnego losu. Jeszcze raz potwierdza odcięcie wsi od narodu, niewiarę w naród i państwo, w nowe jego możliwości. Analfabetyzm musi więc zginąć. Jego trwanie bowiem oznacza życie setek tysięcy poza narodem, co gorsza, poza nową, ludową Polską. Polska ludu, to Polska, w której lud dowiaduje się o szansach lepszego jutra, dalszych, bliższych, pośrednich i bezpośrednich i skoro wie, działa i stwarza je sam dla siebie. Kto może być nauczycielem w tym pierwszym okresie podnoszenia się z ruin ciemnoty? Każdy, kto może wstrząsnąć choćby kilku ogniwami w łańcuchu mas, w których przez dziesiątki lat wytlono nadzieję lepszego jutra dla siebie i dzieci.

Nieprawda, że brak szkół, bo te, które dziedziczymy z przeszłości, określają tylko intensywność kształcenia sił społecznych, jakie Polską władały. Nową Polską władają siły ludowe. Nasza intensywność musi wyjść poza budynki szkolne i zawodowych nauczycieli. Ten zawodowy pion wychowania wymaga ogólnego dorobku pedagogicznego i gospodarczego kraju. I będzie w tych proporcjach wzrastał. Ale nowe siły społeczne są potencjonalnie bogatsze i już mogą i winny owocować, poszerzając szkołę o nowe formy i pozycje.

2) Koła Wiciowe powstały w procesie degradacji społecznej i ekonomicznej chłopstwa w postępującym kapitaliźmie. Wraz z biednieniem chłopów i rozdrobnieniem gospodarstw malał tradycyjny awans na gospodarza, zwiększał się krąg trwałej kawalerki. Pisałem już o tym, że część młodzieży szuka wówczas wyrównania dla tej degradacji w „samoswoim" awansie kulturalnym. Rolę tę spełniły Koła. „Krzepiły ducha", uszlachetniały, upewniały, że się jest człowiekiem, podtrzymywały poczucie osobistej wartości — ale z tej dobroczynnej narkozy korzystali przede wszystkim członkowie Koła. Koło było w społeczności wiejskiej wysepką, elitą, swoistym salonikiem. Powstawało pod wpływem sił wyłączających je z otoczenia, a nie na skutek jego zapotrzebowania. W trzeźwej ocenie bardziej praktycznej części wsi — uchodziło za pewnego typu spółkę, acz „dziwnego nabożeństwa".

Walka z analfabetyzmem będzie dla Koła egzaminem. Dobrze wykonane zadanie dowiedzie, że wiciarze uwolnili się od przedwojennego mitu „szkoły chłopskiej" i stanowej izolacji. Przy tych bowiem mitach poza Koło na robotę społeczną wyjść by nie potrafili. Będzie to egzamin praktyczny dla pedagogiki personalistycznej i społecznej. Co zwycięży, czy stare obciążenia — „potęgowanie życia wewnętrznego jednostki", „rozwijanie duszy", „osobowości moralnej" (na to wystarcza Koło jako spółka, czy salonik), czy też Koła okażą się „narzędziem wychowania i równocześnie realną siłą społeczną w przebudowie narodu?" Sukcesy w walce z analfabetyzmem rozstrzygną wątpliwości. Związek liczy 500.000 członków, zakładając, że w Kole przeciętnie jest 40 osób i że w akcji weźmie udział 5 członków znaczy to, że na front walki Związek może wysłać armię 50—60 tysięcy Wiciarzy. A że będą oni mieli wykształcenie od 5 do 7 oddziałów, to ani nas ani ich nie przerazi.

Pomogą im Kuratoria, instrukcje i **nowe podręczniki.**

Stefanie! Zwołuj konferencję!

Jan Aleksander Król

KULTURA I KALENDARZE

T. — ...No tak! Twoje pismo jest niewątpliwie... pożyteczne, nawet powiem: w swoim rodzaju dobre, ale... Otóż to ale... Jakby to powiedzieć?... Byłoby — przyznasz przecie — lepiej, gdyby było całkowicie samowystarczalne, gdyby nie potrzebowało zupełnie subwencyj. Zdajesz sobie chyba sprawę, że jest to argument o charakterze społecznym...

K. — Rozumiem twą troskę i zakłopotanie. Chcesz w ten sposób ukryć właściwą ocenę.. W istocie pragniesz mi dać do zrozumienia, że pismo jest złe, skoro nie znajduje dostatecznej liczby nabywców, że z nimi się nie liczy. Stąd to twój niby społeczny argument. Mogę nawet spodziewać się, że tym razem użyjesz wobec mnie również argumentu, że ilość stanowi o jakości. Ta marksistowska formuła byłaby doskonała w twoich ustach, w ustach katolika...

T. — Oczywiście, skoro tak sprawę stawiasz, ilość kupujących świadczy o wartości pisma.

K. — Ubawiłeś mnie tym serdecznie. Więc dla ciebie powodzenie bezspornie świadczy o wartości osławionego Rycerza Niepokalanej? Jako katolik jesteś ogromnie niewymagający w stosunku do swoich współwyznawców. Co zaś do subwencji, które bodajże stanowią sedno podjętej przez ciebie sprawy — to muszę zwrócić uwagę, że ujmujesz sprawę zakupu pisma, bo o to właściwie chodzi, w kategoriach liberalnych. Nie dostrzegasz — i wcale się temu u Ciebie nie dziwię — że obecnie zakup ten odbywa się nie indywidualnie, ale zbiorowo, przez instytucje. A jeśli gorszy ciebie — liberała — ten centralny sposób zakupu — to przypomnę, że nie jest to tylko nieco odmienna forma mecenatu, który z rąk prywatnych przeszedł na państwo. Tak przezwycięża się i przezwyciężało bierność i — powiedzmy niedwuznacznie — głupotę społeczeństwa.

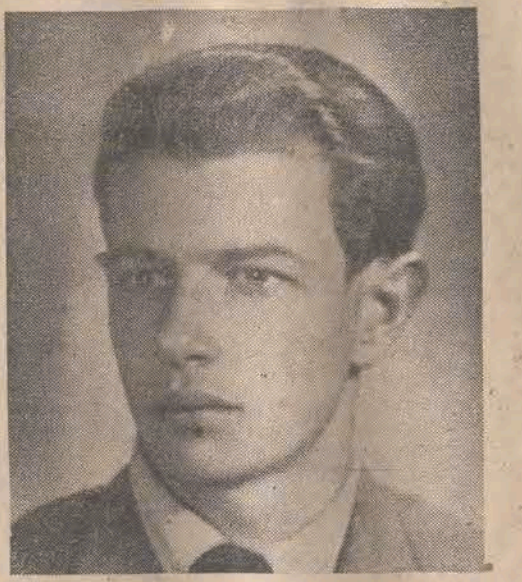
T. — Tu zagalopowałeś się, mój drogi! Ciekaw jestem, gdzież to w naszej przeszłości znajdziesz podobne przykłady przezwyciężania — jak powiadasz — bierności i głupoty społeczeństwa przez państwo. Powtarzam: przez państwo. Mam nadzieję, że nie sięgniesz po wzory do sanacyjnych czasów? Byłoby to rozbrajające! A nie przypuszczam znów, byś w dziejach naszych przed utratą Niepodległości znalazł coś podobnego.

K. — Spodziewałem się, że znasz tylko złe tradycje naszego państwa. Tradycje sobiepaństwa są ci najbliższe. Otóż, by rozproszyć twe historyczne wątpliwości, powołam się na jeden z faktów dający się łatwo sprawdzić. Tadeusz Korzon w charakterystyce źródeł do swych **Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta** (1764—1794) t. I Kraków — Warszawa 1897 wyd. 2, omawiając **Dziennik Handlowy**, ukazujący się w l. 1786—1794, pismo na naszym gruncie nowatorskie i o spornym znaczeniu, wyraźnie wskazuje, w jakiej to mierze byt i rozwój tego „szczerze postępowego i reformatorskiego" organu zależny był od zakupu dokonywanego: przez króla dla miast, (najpierw 30, potem 36 egzemplarzy) i przez Komisję Edukacyjną dla szkół (75 egzemplarzy). Jest to prawie jedna trzecia nakładu. Głupi gmin szlachecki i magnaci nie chcieli pisma kupować... Kupowano jezuickie kalendarze.

Ignacy Mizerkordia

Marian Narcyz Listowski

WIERSZE



Marian Listowski urodził się we wsi Widniówka w powiecie krasnostawskim w roku 1926. Ojciec był chłopem, matka nauczycielką ludową w tej wsi. Młody poeta własnym wysiłkiem zdobył maturę w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Chełmie. Tam też objął posadę nauczyciela w Państwowej Szkole Powszechnej dla Dorosłych. Wyższe studia są dlań na razie niedostępne.

KRAJOBRAZ

**Jest sens istnienia wieków — wielkich i małych
rzeczy. Brata zabiłeś człowieku — o cały
byt mniej bezpieczny. Wolno po wiejskiej drodze
światło do chaty płynie.**

**Wy nie tak srodze
odczuliście brak żarówki nad książką czytaną
wieczorem, kolego z miasta.**

**A rano —
sens był jednaki: strzału — wstającej bladej chmury,
proporcji światła i cienia, krzyku duszonej kury,
ryku gonionej krowy z dymem na horyzoncie.**

**I czasem rodził się człowiek — człowiek
też czasem umierał. Pracą sen zganiał z powiek,
zemstą do brata strzelał.**

**Z lasu zwierza i ludzi płoszył fałszywy dymek,
kiedy na wsi stawiano nowy szkolny budynek.**

**Smutna jest jednorodność rzeczy dużych
i małych. Krzyk na sali sejmowej — omszałość
dziadkowej strzechy. Przecież i cień się dłuży
kołatających szprych repatrianckiego wozu.
Chłopski to sens, sprawiedliwy, powojennego losu.**

PEJZAŻ NOCNY

**Tu ule dzieci chłopskich
wśród sadów przetwarzają historię.
Pod mostem sierp złoty kosi
bławaty gwiazd w nieboskłonie
Tasiemki są białobrukiem
szos w cztery strony świata**

**Miasteczko rodzinne ulata
wysokim brzegiem wież w ulgę
A magistrackie zegary
owoce rwą kasztanowcom,
— myśli siecią trzepocą
ryb srebrnych herb prastary.
Już byłbym zapomniał prawie,
syn chłopa urodzony w miasteczku,
że nie wypada jak dziecku
sny kosić mi — w Krasnymstawie.**

CHEŁM MOJEJ MATKI

**Urodzona przy ulicy Czarnej córka Szadeńskiego dróżnika
— moja matka. Straciła zdrowie w klasach okrytych szronem
Tu trumnę jej nieśli uczniowie przybyli z odległej strony,
przecież i cień jej uśmiechu w pamięci miastem zanika.**

**Z kilkudziesięciu na targowisku zagipsowanych ust
nie wybiegł wolny krzyk rozstrzału. Pod lasem z ciał stu
tysięcy jeńców — Sowietów wyrasta krzak podbiału.**

**Miasto biało-czerwonej Kameny — sen chmurny
wieży się nad wzgórzem najwyższym mauzoleum.
Syn chłopa nie wysferzy się w pedagogicznym liceum
— składa drobne przesądy w zapomnienia urny.**

**Starych kamienic, młodych myśli — rzeczy drobnych
mnóstwo jest brukiem spadłych ulic z rana.
Kołyska poetów — taki niepodobny
do innych gród — stuletnia panorama.**

Jerzy Falenciak

INDIE NA SERIO

Nie jest rzeczą przypadku, że wszyscy niemal nowocześni autorzy hinduscy mitologizują swój naród według zupełnie europejskiego kryterium podziału kultury świata na „wschodnią" i „zachodnią". Czyni to także wielki Rabindranath Tagore, widzący społeczne sprawy i ludzkie biedy przez okno zacisznego gabinetu. Dla niego bowiem, i jego kolegów po piórze, każdy Hindus bogaty czy biedny, pyszny czy upakarzany, to zawsze nieodrodny syn **tajemniczych Indyj**, zapatrzony we wnętrze swej hinduskiej duszy, obcy wydarzeniom zewnętrznego, historycznego świata.

Trudno tu dyskutować słuszność czy niesłuszność poglądów, obstających za podzielnością kultury Wschodu i Zachodu. Ważne jest natomiast, że pierwszy bodaj głos godzący w ten tradycyjny i wiekowy podział należy do radzieckiego pisarza Ilji Erenburga.

Erenburg wyraził się, że kultura jest niepodzielna, bo nie da się podzielić na strefy i „rozciąć jak placek na kawałki". Zadaniem historyków będzie więc wyjaśnienie genezy tego rzekomego podziału, o ile ona jest następstwem faktów dziejowych, a o ile mistyfikacją świeckich i kościelnych polityków Zachodu od czasów najwcześniejszego średniowiecza, przejmowaną następnię w mniej lub więcej dobrej wierze przez „pracowników i propagatorów kultury".

Prawdopodobnie Rabindranath Tagore, właśnie ze względu na swoistość i orientalność jego dzieła, jest popularniejszy w Europie niż w Indiach. Jego myśli stanowią towar tak samo wyłącznie eksportowy, jak większość indyjskich osobliwości, poszukiwanych przez konsumentów Zachodu. I stąd także płynie szacunek białoskórych i białorękich czytelników Europy i Ameryki do tego pisarza, który obdarzając ludzkość mistyczną filozofią Indyj **nie tknął nawet społecznej problematyki**, nurtującej mniej szczęśliwą, a olbrzymią część jego narodu od tysięcy lat.

Gdyby Rabindranath Tagore nie był metafizykiem, lecz społecznikiem, wówczas byłoby o nim głucho w „kulturalnej" Europie. A tak wszedł — używając popularnego i banalnego określenia — na wyżyny ogólnoludzkiej myśli.

Pisarze społecznicy różnią się tym od metafizyków, że gdziekolwiek by nie działali, i kiedykolwiek, nic nowego nie znajdą pod słońcem oprócz ludzkiej biedy, która zawsze i wszędzie jest identyczna i którą zawsze zwalczać trzeba. Ta identyczność skłania wielu do eliminowania myśli ekonomiczno-społecznej, jako objawu kultury „gorszego rzędu", zwłaszcza gdy pisarz rozpowszechnia tę myśl drogą środków nie naukowych, lecz typowo artystycznych.

Nie znaczy to wcale, że Rabindranath Tagore, znany w Europie i Ameryce, jest zapoznany w swej ojczyźnie. Znają go niewątpliwie i jego rodacy, ale nie z dzieła, lecz z wszechświatowej sławy, zwłaszcza zaś gdy chodzi o hinduskie masy ludowe. Tym na pewno bliższy jest piewca ich uciśnionego człowieczeństwa w feudalnej niewoli panów hinduskich i innych — syn ludu i chłop z urodzenia **Prem Czand**, któremu daleko do popularności w Europie.

Urodzony w roku 1880 zmarł w 1936. W szeregu dzieł przedstawia duchowy i materialny byt chłopa w kolonialnych Indiach. Krytyk i historyk literatury Ram Czandr Czukl umieszcza go w poczcie najprzedniejszych przedstawicieli prozy hinduskiej. Jako pisarz nazywał się stale **robotnikiem**. Jego najważniejsze powieści osnute są na tematach społecznych, właściwych nie tylko środowisku Hindusów, ale też całej ludzkości („Sewasadan", „Prem-Aszram", „Przybytek Miłości"). Szczególnie interesujący, chociaż nie stojący na tej samej wysokości artyzmu co powieść, jest jego dramat społeczny (niesceniczny) pt. „Walka".

Akcja „Walki" rozgrywa się w wiejskiej posiadłości dziedzica Sabala Sincha, którego majątkiem zarządza brat jego Kanczan Sinch, agronom i lichwiarz zarazem. Sabal Sinch ma młodą i inteligentną żonę, podzielającą liberalistyczne poglądy swego męża; jej imię brzmi Dżnani. Obydwoje są pięknoduchami i gorącymi zwolennikami zasad głoszonych przez Mahatmę Ghandiego. Dzierżawcą skrawka ziemi w posiadłości Sabala jest chłop Chaldchar, gospodarujący wraz z żoną swą Radżeszwari, młodą i nad wyraz ładną. Złym i ciemnym charakterem dramatu w skali pojęć zwykłego Hindusa, będzie tam asceta Czetan (nie wiadomo czy nie bardziej łazik i złodziej niż asceta), **deus ex machina** technicznych zawiłości sztuki.

Przypadek chce, że Sabal Sinch spotyka Radżeszwari, żonę Chaldchara, i z miejsca zostaje ogarnięty gwałtowną i namiętną miłością do niej. Aczkolwiek sam liberał i ghandista, pokonany namiętnością zapomina o swych „demokratycznych" zasadach, przeistaczając się w typowego dla jego stanu dziedzica-dziwkarza.

W Madchubanie (tak zowie się posiadłość Sabala), zapanował wywołany suszą nieurodzaj. Chaldchar nie może wnieść do dworu raty czynszu dzierżawnego w określonym terminie, a poza tym przychodzą zapadłości długu u szlachetnie urodzonego lichwiarza Kanczana, działającego i wyręczanego przez rachmistrza-famulusa.

Według obowiązującego w Indiach prawa niewypłacalność powoduje areszt dłużniczy. Sabal Sinch nie zajmuje się sprawami majątkowymi zleciwszy to bratu. Ten zaś i jego oficjaliści świadomi miłosnej rozterki Sabala po bezskutecznej egzekucji ruchomości, osadzają Chaldchara skwapliwie w więzieniu jako niewypłacalnego dłużnika.

Nic już teraz nie stoi na przeszkodzie żądzom Sabala oprócz jego żony, która zresztą nie wie o niczym. Uprowadza więc przy pomocy wybiegów pseudoascety i kanalii Czetana biedną Radżeszwari do pobliskiego miasta i tam umieszcza w specjalnie najętym domku. Czetan, czekając tylko na to, wyjawia przed żoną Sabala — Dżnani, jego rozpustę i w ten sposób chce ją pozyskać dla siebie, przyjmując przy tym pozę tak popularnego w Indiach mahatmy-mistyka.

Dżnani orientuje się w lot w tej intrydze. Nawskroś cnotliwa, tak jak Radżeszwari, nie uchodzi od Sabala tylko dlatego, żeby zemścić się na nim za zrujnowanie jej rodzinnego szczęścia. Dziedziczka Dżnani, załamana utratą wiary w ideały odbiera sobie życie. Religiant Czetan dostaje obłędu i topi się w Gangesie. Chłop Chaldchar ucieka z więzienia i wstępuje do bandy rozbójniczej. Żyje nadzieją zemsty na Sabalu i z tego powodu często krąży wokół swego dawnego domu. Pewnego dnia spotyka na gospodarstwie żonę, która powróciła z miasta.

Prem Czand rozwiązuje akcję Sabala Sincha w sposób nierealny, a czyni tak poprostu dlatego, aby wywrzeć umoralniający wpływ na hinduskich dziedziców-zamindarów. Pokazuje im więc, że bogactwo jest przeciwne sprawiedliwości i humanitaryzmowi, ponieważ dziedzic, nawet liberał i ghandysta, nic nie znaczy jako osobowość w niemoralnej i antyhumanitarnej machinie feudalizmu, włączonego w swych szczytach w kapitalistyczną organizację wyzysku. Jedyną ucieczką od tego ma być ekskulpacja szlachty poprzez reformę społeczną w wielkich dobrach.

Tak też Sabal Sinch po bujnych przejściach rozdaje swą ziemię chłopom na własność i wyjeżdża do Kaszmiru jako pątnik.

Rozwiązanie naiwne i nierzeczywiste zarówno na Indie jak i na inne kraje, gdzie istnieje jeszcze wielka własność rolna. Ale trzeba pamiętać, że autor mógł wierzyć w takie załatwienie spraw społeczno-gospodarczych swego kraju, pisząc „Walkę" około 1921 r.

Główny jednak morał „Walki" wyrównywa ten znaczny błąd w ocenie rzeczywistości społecznej. Dobrze byłoby, aby zwrócili nań uwagę także **nasi personaliści:** Sabal Sinch nie popełniłby nigdy grzechu przeciw swemu sumieniu liberała, gdyby nie był równocześnie dziedzicem-zamindarem, wplecionym w nieubłagany aparat feudalizmu Indyj i gdyby jego liberalizm na feudalnej podstawie, nie realizował nowoczesnego wyzysku kapitalistycznego.

Nie od rzeczy będzie tu przytoczyć fragment dialogu z „Walki", który ze wszech miar świadczy o wielkim talencie teatralnym autora, chociaż sama konstrukcja sztuki wiele pod tym względem nastręcza zastrzeżeń.

Przychodzi Chaldchar do rachmistrza dworskiego po pożyczkę.

R a c h m i s t r z: Potrzeba ci więc 200 rupij? Przedtem było 5 proc. za upomnienie a teraz 10.

C h a l d c h a r: Jak pan uważa.

R.: Przedtem za pismo doliczało się 2 proc. teraz 4.

Ch.: Jak wielmożny pan rozkaże.

R.: 5 rupij za blankiet stemplowy.

Ch.: Dobrzę.

R.: 2 rupie idą na opłaty pocztowe.

Ch.: Jak pan każe.

R.: Mnie się dolicza za komis 5 rupii, ale tyś biedny człowiek, wezmę 4! Czy wiesz, że ja tu nie otrzymuję żadnej pensji. Moja cała nadzieja tylko w tym komisowym.

Ch.: Pan bardzo litościwy.

R.: 1 rupia nadto na podarunek dla dziedzica.

Ch.: Proszę uprzemie, niech pan podaruje, nasz dziedzic dla wszystkich dobry.

R.: I 1 rupię dla dziedziczki na **betel.**

Ch.: Niech pan będzie łaskaw wziąć. Mówią, że ona bardzo litościwa dla biedaków.

R.: Tyś piśmienny?

Ch.: Nie, maharadżo, dla mnie litery to samo co dla krowy.

R.: To w takim razie złóż odcisk wielkiego palca lewej ręki na tym blankiecie stemplowym. **(Dobywa pieniądze z kasety).** Przelicz.

Ch.: Tak, na pewno, zgadza się.

R.: To wynoś się, trzy razy pokłoń się na progu i do domu!

Ch.: (Wychodzi, zatykając pieniądze za opaskę na biodrach). Wchodzi Kanczan Sinch.

R.: I ani pisnął!

K a n c z a n: Kiedy się temu bydłu wpakuje co do łba, to już niczego nie widzi, zasłona im opada na oczy. Aż smutno się robi na duszy, lecz co robić? Ale czy może istnieć człowiek porządny bez pieniędzy?

Mitologom „kultury ludowej" poleca się pod uwagę pracowitego Chaldchara, a mitologom „Wschodu" szanownego Kanczana Sincha.

Tadeusz Papier

REPORTAŻ STOPNICKI

LUD WOLNY... Z FANTAZJĄ

Turysta, któryby chciał na podstawie lektury dokładniej zapoznać się z ziemią, którą obejmują granice powiatu stopnickiego, miałby do pokonania nie małe trudności. Musiałby długo szukać po bibliotekach zanimby dotarł do zapomnianego dziełka traktującego o tej ziemi. Najbogatsze wiadomości dałyby mu ocalone kroniki parafialne. Archiwa około trzydziestu kościołów parafialnych stanowią dziś, wobec zniszczenia lub spalenia akt gminnych w czasie wojny, najbogatsze źródła wiedzy o dawnych ludziach i dawnych czasach.

Częściej można spotkać się z literaturą dotyczącą zakładów zdrojowych w Busku i Solcu. Dr Julian Majkowski w dziełku pt. „Busko", wydanym w Radomiu w 1905 r. wymienia tych pozycji ponad setkę. Są to przeważnie sprawozdania lekarskie i z badań geologicznych dokonywanych na terenie powiatu, często z dodatkiem „krótkiego opisu Buska i jego okolic".

Z przedwojennych wydawnictw jedynie „Pamiętnik Świętokrzyski" stanowi poważniejszą pozycję. Zarys historii kościołów powiatu. stopnickiego ks. Wiśniewskiego („wyd. „Jedność" Kielce) jest zbyt popularnie ujęty aby mógł zadowolić naszego turystę.



Starosta pow. stopnickiego Stanisław Wyka.

Nowe i nieznane w stosunku do wymienionej lektury wrażenie odniesie nasz czytelnik z dzieła Niny Assorodobraj — „Początki klasy robotniczej" („Czytelnik" 1946). Oto przyzwyczaił się widzieć powiat jako jednostkę rolniczą, zapomnianą, zdala od wielkich szlaków komunikacyjnych, która nie przyciąga do siebie ekip przemysłowców wieściami o ukrytych skarbach mineralnych—siarki, soli, nafty.

A tymczasem w rozdziale—„Najem wolny" — napotyka na opis werbowania **robotników i prządek** z Kurozwęk do **manufaktury staszowskiej.** Stare to dzieje i tradycja nieznana dziś w powiecie. Rok 1777: „zorganizowanie ośrodka chałupniczego w Kurozwękach także nie napotykało chyba na trudności, skoro prządki z Kurozwęk same zawiadomiły dyrekcję, że potrafią prząść cienko, i skoro w ciągu roku liczba przędzących z 18 wzrosła do 54"...

Ale nasz turysta, który razem z nami zwiedza powiat, nie zatrzyma się dłużej nad tym zapomnianym epizodem życia powiatu. Uwagę jego pochłoną liczne dwory i kościoły rozsiane po powiecie. Kurozwęki, Słupia, Zborów, Smogorzów, Wójcza, Niziny — Radziwiłł. Popiel, Łaszkiewicz, Linowski — nazwiska, które wyznaczały do 39 r. dzieje powiatu. Około trzydziestu dworów i równie tyle kościołów parafialnych trzymało straż nad duszami chłopów. Tak jednak nie tłumaczyłby sobie roli dworów nasz turysta, jeśliby zwiedzał powiat przed wojną zaopatrzony w książeczkę doktora Majkowskiego. Pouczała ona nawet szczegółowo co godnego jest do obejrzenia w powiecie stopnickim. Dr Majkowski wydał swe dziełko w Radomiu i w 1905, ale z rewolucją nic ono nie ma wspólnego. Albo powiedzmy inaczej, ma o tyle, że rozumienie przez doktora historii i kultury polskiej było kontrrewolucyjne. Wychował się doktór we wpływach lat 90-tych etnografów, regionalistów i naturalistycznych hierarchicznie ułożonych pamiątek szlacheckich i pawio — wiejskich i jeszcze dużo zachowanej natury z orientacyjnymi znakami szczęku oręża polskiego. Dlatego podróżnik otworzywszy przewodnik dr Majkowskiego czytał:

„Okolice Buska zamieszkuje lud rolny, oddzielną posiadający charakterystykę. Są to tak zw. Krakowiacy czyli Krakusy. Lud to uczciwy i pracowity, lecz nie zamożny, odznacza się uprzejmością i fantazją, która się i w jego stroju wyraża.

Czerwona czapka rogatywka z pawiemi piórkami, wyszywana kierezya i pas z brzęczącymi kółkami dodaje fantazjii młodemu krakusowi — a czerwony lub niebieski gorset, wzorzysta suknia i pęk jaskrawych wstążek w warkocz wplecionych i powiewnie falujących zdobi krakowską dziewoję...

Celem dalszych wycieczek jest lasek Mikułowski, o 2 wiorsty odległy las widuchowski i las rządowy przy szosie Pinczowskiej — wiorst 3 — 4 — oraz cała bliższa i dalsza okolica Buska — piękna i malownicza.

Najczęstsze i niemęczące wycieczki odbywają się: do Skorocic wiorst 4, dla obejrzenia:groty, gór gipsowych i starego grobowca Aryanów, do starożytnej Wiślicy, a jeszcze dalej — wiorst 20 — do Winiar nad Wisłą, z pięknym parkiem i widokiem na Wisłę.

Prócz tego godnym jest widzenia: sąsiedni Solec z zakładem wód mineralnych tego samego składu co i Busko — mil. 3, Chrobrz nad Nidą, stolica margrabstwa Pinczowskiego mil 1¹/₂ Pinczów, z nader starożytną bóżnicą, mil 2, Nowe - Miasto Korczyn, przy ujściu Nidy do Wisły, ze starożytnymi świątyniami mil 2¾, a jeszcze dalej o mil 12 uroczy Ojców, Pieska Skała, Grodzisk i cała przepyszna dolina Prądnika, słusznie Polską Szwajcaryą nazwana..."

Jeśli do tego obrazu dadamy tło tradycji kościuszkowskiej (Sieczków, Pacanów, Konary — miejsca postoju wojsk Naczelnika), która w tych okolicach jest szczególnie żywa (bliskość Krakowa, Racławic, Połańca) wówczas nic nie mogło popsuć naszemu turyście idelnego obrazu wsi spokojnej, wsi wesołej, co zresztą leżało w intencjach dr Majkowskiego, miłośnika tego tego regionu.

INNE SPOJRZENIE

Oto leżą przed nami dwa dokumenty. Autorem ich jest jeden i ten sam człowiek: starosta powiatu stopnickiego Stanisław Wyka, przedwojenny działacz „Wici", członek S.L. Pamiętnik sprzed wojny i Plan uprzemysłowienia powiatu stopnickiego, opracowany po wojnie. W jakim stosunku pozostają te dwa dokumenty do siebie?

„Dnia 15.4.1937 roku. Nocowały u nas dwie kobiety, jedna z dzieckiem, obdarte, po prośbie chodziły Jakże one nędzne, niosły 25 kg ziemniaków, jak się żaliły, jak płakały, Boże! Bez koszul, bez butów..."

„Wieczorem byłem w Staszowie, podeszła do mnie dziewczynka lat 12, biedactwo chude, wprost szkielet. Chce mnie pocałować w rękę — prosi by jej choć dwa grosze dać. Pytam cóż będziesz mieć za dwa grosze? Mówi — jeden da dwa, drugi da dwa i stu ludzi po dwa grosze będę mieć koszulę. Rozpięła sukienkę na piersiach — rzeczywiście była bez koszuli. Pytam — ojca masz? — Mam, ale zapomniał o mnie, bo sam bez roboty. — Matkę masz? — Mam, matka dobra, ale co gdzie zarobi, a nas jest czworo. I rozpłakała się biedactwo."

„18.4" Dziś zjazd z całej Polski Stronnictwa Ludowego w Racławicach, w Szczucinie zabito most deskami z obu stron, żeby nikt nie przechodził Dwie „gęby" maszynowe stoją. Nikogo nie puszczają za Wisłę. **Tłum chce i będzie chyba kiedyś gadał...**"

Stosunek Wyki — wiciowca do ówczesnej rzeczywistości jest rewolucyjny, choć manifestuje się jeszcze tylko prawie w słowie. — Można sobie wyobrazić tego młodego człowieka, którego doświadczenie społeczne popychało do najostrzejszej akcji konspiracyjnej i którego równocześnie „Wici" i „Młoda Myśl Ludowa" paraliżowały swymi spekulacjami kompromisowymi: słowiańszczyzną, agraryzmem, kulturą ludową, straszakiem komunizmu. Widać Wykę wyraźnie w przedwojennym systemie wiciowym. Oto Pamiętnik, oto wiersz u niego nie-poety. To jest ta pierwsza postać buntu, uczuciowa, liryczna. Zbijana z tropu chęć działania rewolucyjnego przemienia się we **wzruszenie.** Mamy w wyniku ckliwego poetę, zamiast tęgiego rewolucjonisty:

Jedni bardzo żyją nędznie
Smutek nigdy nie chodzi z ich czoła
W życiu i trumnie
Kamień żarnowy sprawiedliwości woła!

Jemu samemu zabito wyjście na świat. Samouk, potem uczeń gimnazjum, nie kończy szkoły z powodu nędzy materialnej. Nie może wykorzystać nabytych umiejętności, bo pracy dla „takich" nie ma: „dn. 20.4.37. Otrzymałem z Dyr. Polskiego Monopolu Tyt. pismo odmowne — nie ma wolnych miejsc. Czysta rozpacz!"

Oto czego nie dostrzegł w powiecie przedwojenny turysta zaopatrzony w informator dr Majkowskiego. Jest ich nędzarzy, bezrolnych chłopów, którym zabito deskami mosty na świat, w województwie kieleckim w roku 1921 — 34 proc a w 1931 — 34.9 proc. Rok rocznie umiera im dziesiątki dzieci. Nie kupują cukru ani mydła, bo jak? Chłop na 5 ha wydawał rocznie na cukier 6,85 zł (gdy urzędnik 43,48 zł), a na mydło 3,49 zł. A robotnik leśny zajęty przy kopaniu pniaków zarabiał dziennie w r. 1937 — 1,5 zł (metr żyta kosztował wtedy 25 zł, a metr ziemniaków 5 zł). Jeśli kupił żyta i ziemniaków dla czteroosobowej rodziny, co mu zostało na mleko dla dzieci, cukier, sól, buty, ubranie?

Są oni, ci bezrolni i małorolni najczęstszymi gośćmi aresztów gminnych, karani za podatek, nieodrabianie świadczeń rzeczowych, podwód, drobną kradzież, najczęściej leśną, są pod stałą obserwacją policji, bo gdzież najłatwiej przyjmują się „wywrotowe" idee, jak nie pośród nędzy i biedy. Nie są wybierani do rad gminnych, nie są sołtysami, wójtami, nie posyłają dzieci do gimnazjów, rzadko do szkół powszechnych nawet.

Przed wojną powiat stopnicki był zaliczany do jednego z najgroźniejszych powiatów. Budziły grozę wśród kół inteligencji wiejskiej nawet „Wici", niepokoił wzrastający ruch polityczny ludowy, jawny i ukryty, wzrastająca liczba prenumerat „Zielonego Sztandaru", „Wici", „Wyzwolenia" Pisał raport policjant w gminie Szczytniki, że Józef Maślanka ze Szczytnik namawia chłopów do otwartego buntu przeciwko państwu. Ścigani byli: Połetkowie, Rusieccy, Pierony, Pawliny, Walaskowie, na poczcie i gminie konfiskowano nadchodzące gazety.

OBRAZ DZISIEJSZY

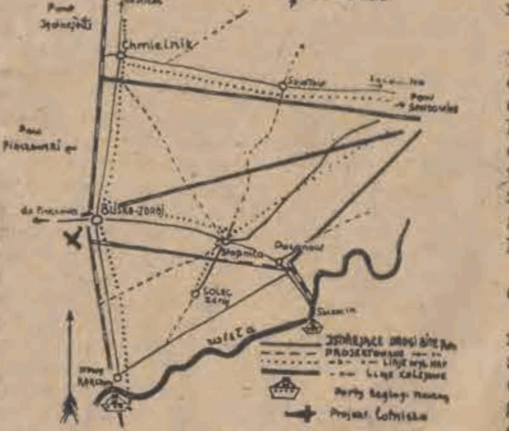
30 dworów zamieniono dziś na szkoły rolnicze i ośrodki Samopomocy Chłopskiej. Ziemią podzielili się bezrolni chłopi. Właściciele albo oddali swą pracę nowemu porządkowi (poseł Krzysztof Radziwiłł), albo nie powrócili z zagranicy. Otrwarte wrota poszlacheckich dworków zapraszają dziś do pracy i nauki. W niedzielę nie jeżdżą już bryczki i powozy wierzbowymi drogami do kościoła.

Mimo tych zmian, wynikających z panowania nowego ustroju turysta, zwiedzający dziś powiat stopnicki, nie znajduje różnic w krajobrazie obecnym a dawnym. I teraz kraj obraz to daleki od widoków nowoczesnych osiedli i wsi Zachodu. Brak dobrych dróg (jedyne szosy w powiecie: Kielce — Busko — Nowy Korczyn, Busko — Stopnica — Szczucin, Chmielnik — Szydłów i Solec — Stopnica — obramowują granice powiatu), brak kolei żelaznej (powiat znajduje się w środku kwadratu 100 × 100 km pozbawionego dróg żelaznych. Jedyna kolejka wąskotorowa przecina nieśmiało północną krawędź powiatu), mizerne mieściny i słomiane wsie, niedostatek szkół, nauczycieli, szpitali, ośrodków zdrowia —oto obraz powiatu położonego kiedyś na granicy imperium rosyjskiego i cesarstwa Austro-Węgier, zdala od centrów przemysłowych Królestwa, od jego szlaków handlowych i komunikacyjnych. Nie odbiega prawdy sprawozdanie doktora Majkowskiego. I dziś jeszcze wypadnie przejechać furmanką lub saniami z Buska do Kielc!

Wojna sytuację pogorszyła. Znikło z powierzchni pięćdziesiąt procent wsi, pozostało 40 tysięcy hektarów zaminowanej ziemi, zginęło przy rozminowywaniu terenów 5 tysięcy ludzi. Obecnie liczy powiat 128 tysięcy ludzi, na 126 tysięcy hektarów uprawnej ziemi i 46 tysięcy ha lasów i nieużytków (na Ziemie Odzyskane wyemigrowało około 50 tysięcy chłopów, na służbę państwową 16 tysięcy (z tego 17 starostów). Z powierzchni uprawnej ziemi około 30 tysięcy ha nadaje się tylko do zalesienia. Liczy powiat 285 gromad, 25 gmin wiejskich i dwie miejskie.

SÓL ZIEMI

W chwili obecnej grupa inżynierów i geologów bada wnętrze ziemi stopnickiej. Według orzeczeń inż. Czarnockiego i prof. Pniewskiego ziemia ta posiada skarby, których eksploatacja opłacałaby się sowicie.



Szkic pow. stopnickiego. Projektowane przez starostę linie kolejowe i linie wysokiego napięcia.

Pominąwszy źródła siarczane w Busku-Zdroju i Solcu (Zakłady lecznicze) ziemia stopnicka kryje duże pokłady gipsu białego lekarskiego, którego zapasy przy wydobyciu 20 ton dziennie starczyłyby na 300 lat. Świdry doszukują się ropy naftowej, koło Chmielnika występują pokłady glinki białej do wyrobu porcelany (przerabia się ją na Śląsku), inżynierowie szukają ołowiu, cynku, pirytu. Chodzą wśród ludzi pogłoski o ukrytych gdzieś pokładach alabastru i węgla. Chłopi z Wójczy palą w lampach ropę wydobywaną własnym przemysłem z ziemi. Szuka się soli. Wszak już w 1787 r. przejeżdżając tędy król Stanisław August kazał sobie czynić różne doświadczenia.." oglądał w oddzielnym gmachu piec i kotły czyli panwy, w których sprowadzona rurami z rzeczonej skrzyni woda, warząc się przez godzin kilkadziesiąt, w białą i piękną sól zamieniała się" (Naruszewicz). Warzenie soli w Busku trwało wtedy lat 7. Zaniechano jej później z powodu nierentowności przedsiębiorstwa. W ciągu lat powracano jednak do tego tematu, spodziewając się, że ziemia kryje w sobie sól, węgiel, naftę.

Nie oczekujmy cudów. Badania naukowe wykażą co zawiera w sobie ziemia stopnicka i czy przede wszystkim opłaci się eksploatacja ukrytych skarbów. Dziś staje się na oczach inny cud:

Oto leży przed nami drugi dokument starosty — mapa — plan uprzemysłowienia powiatu. Plan obmyślany i wykonywany przez starostę. Przypomina tą robotą przedwojennego wiciarza, który chciał mierzyć siły na zamiary. Plan nie rozrachowywuje kolejności prac, nie przewiduje w ostatnich szczegółach zadań, nie mówi o czasie w jakim ma zostać wykonany. Plan jest buntem dawnego wiciarza przeciwko złu, jest wyśnioną po nocach ostatniej wojny wizją nowego szczęśliwego powiatu, w którymby nie było ani drewnianych domów, ani złych dróg, ani chorych dzieci, ani analfabetów.

Ta wizja powiatu, połączonego liniami kolejowymi z wiślanymi portami żeglugi rzecznej na południu i wschodzie a stacjami kolejowymi na północy i zachodzie (Kielce, Jędrzejów. Częstochowa), powiatu pociętego liniami wysokiego napięcia, dającymi ciepło i światło chłopskim chałupom, przenosi nas o kilkadziesiąt lat naprzód, włącza zapomniany powiat w życie ogólnopaństwowe.

Obok nowych szkół rolniczych, uniwersytetów ludowych, mieszczących się w dawnych pałacach szlacheckich, obok szkół monterów elektryków, samochodowo-traktorowych, krawieckich, powstaną fabryki przetwarzające bagactwa naturalne ziemi stopnickiej. Zaprojektowane są: garbarnie, mleczarnie, cukrownie, zakłady włókiennicze (odżyje tradycja Kurozwęk i Staszowa), browary, huty szkła, tartaki, zakłady przetworów owocowych, młyny, bekoniarnie, zakłady ceramiczne, jedwabnicze, przetworów ropnych, koszykarskie, wytwórnie czekolady, szczotek, wyrobów powroźniczych. Plan rozmieszcza poszczególne zakłady stosownie do potrzeb miejscowości i bogactw terenu.

To jest wizja powiatu rewolucjonisty wiciarza. I to jest odpowiedź na pytania pamiętnika pisanego przed wojną. Czy ma ta wizja szanse realizacji? Jakie siły społeczne, materialne, ekonomiczne mają być wciągnięte do tego dzieła?

NA WSI

Pochyleni nad mapą, na której naniesione są zmiany w krajobrazie powiatu, kontynuujemy dalszy ciąg wędrówki po powiecie. Siedzi nas pięcioro przy stole — sołtys, nauczyciel, starzy Domagałowie, gospodarze domu i ja, przybysz z daleka. Patrzymy na siebie bacznie, ciekawi wzajemnych nowin.

Jestem w Bydłowy, zapadłej wiosce na wschodnim krańcu powiatu stopnickiego. Jest już noc. Nie widzimy pobliskich lasów, którego półkolem otaczają wieś i ciągną się het ku Staszowowi i Wiśle. Widzimy jednak szczyt lasu, rysuje się on nam dokładnie na tle czarnej ściany nocy. Gdy zmilknie na chwilę rozgwar naszych głosów, słyszymy daleki szum, znajomą mowę pięciu lat okupacji.

I wówczas stary Domagała pokazuje na mapie liczne znaki przedstawijące przyszłe fabryki i mówi: — tak, to się stanie! Nie wierzyłem dawniej, nie wierzyłem podczas wojny, a teraz wierzę. Nie mam syna, nie mam dzieci, a cieszę się. Słyszałem o zarządzeniu wywózki kamienia na drogi na rok 1948. W 49 r. każda gmina ma zrobić 5 kilometrów nowej drogi. Pierwszy stanę do tej roboty.

— Da to 125 km. bitej drogi w 49 r., a w 1954, za 6 lat powiat liczył będzie razem z obecnym stanem 1.000 km bitych dróg. — dodaje nauczyciel. — Zważcie też na akcję scaleń gruntowych. W wyniku tych scaleń wyłączono w każdej wsi miejsce na boisko sportowe, pod spółdzielnię, dom ludowy, straż pożarną. We wsiach, gdzie znajduje się zarząd gminny istnieje projekt wyłączenia 1 ha ziemi pod przyszłą gminną spółdzielnię zdrowia.

— Starosta przewiduje utworzenie w każdej gminie szpitala na 15 łóżek — wtrącam.

— Po raz pierwszy jestem na takim zebraniu, gdzie nie słyszę narzekań — dorzuca sołtys. Ale przecież mnożyć można przykłady dobrej roboty we wszystkich gałęziach gospodarki powiatu. To co mnie najżywiej obchodzi ze względu na dzieci i na mnie samego. Dzieci chodzą do gimnazjum w Busku a ja sam przeszedłem w tym roku w zimie— nie wstydzę się tego nazwać i dziękuję za to staroście — przymusowe nauczanie. Objęło to nauczanie tematy społeczno-gospodarcze, takie jak potrzeby scaleniowe, dróg, przemysłowe, rejonizacji, elektryfikacji. W tym roku,jak słyszę, nauczanie to obejmuje wszystkich poza wiekiem szkolnym do 55 lat włącznie.

— Podobnie przedstawia się sprawa z dokształcaniem naszych przodowników społecznych — dodaje nauczyciel. Wszyscy przewodniczący gminnych rad narodowych, zastępcy i delegaci rad przejdą kurs znajomości prawa i potrzeb gospodarczych powiatu. Takie samo szkolenie obejmie wójtów i ich zastępców i 1 członka zarządu gminnego.

Przysłuchuję się rozmowie tych ludzi, snujących na podstawie dotychczasowych osiągnięć władz powiatowych swoje plany na przyszłość. Staram się odgadnąć ich pozycję społeczną przed wojną. Nie mylę się. Domagała był stale najemnikiem u bogatszych chłopów. Materialnie los jego nie wiele poprawił się obecnie. Jego awans społeczny polega nie na poprawie bytu materialnego. Domagała jest członkiem gminnej rady narodowej. Sołtys ma za sobą 90 dni aresztu przedwojennego za podatki i obrazę sekwestratorów. Nauczyciel pochodzi z sąsiedniej wsi i nie ma pełnego średniego wykształcenia. Uzupełnia je na kursach nauczycielskich.

Nafta w lampie się wypala a oni pochyleni nad coraz bardziej nieczytelną mapą wciąż rozprawiają o planie starosty, o ludziach rządzących dzisiaj powiatem. Wykach, Walaskach, Słotach, dawniej nieznanych, wydziedziczonych, ginących w tłumie najemników pracy, łaknących soli, chleba i książki.

Maurycy Jaroszyński

OPORY STARYCH IDEOLOGII*)

(Rozważania polityczne)

1. FORMA CZY FUNKCJA INSTYTUCJI?

Poszczególne instytucje życia społecznego pozostają w ciągłym rozwoju tak, jak w stałym ruchu i rozwoju znajduje się całe życie społeczne. Rozwój dokonywa się raz powoli i niemal niepostrzeżenie, to znowu szybko, albo nawet gwałtownymi skokami o charakterze radykalnych przewrotów. Układ sił społecznych, odpowiadający układowi sił ekonomicznych danego kraju, jest tym generalnym tłem, na którym dokonywują się przemiany. Stąd zmiany w ogólnym układzie tych sił są głównymi czynnikami, wpływającymi na przemiany poszczególnych instytucji, nieraz nawet bardzo drobnych.

Zmiany dotyczyć mogą formy i treści, albo nawet nie naruszając istotnych cech tych elementów w poszczególnej instytucji, traktowanej w izolacji od całości i niejako samej w sobie — polegać mogą jedynie na nabieraniu nowego, z gruntu odmiennego społecznego sensu na tle całego układu stosunków społecznych. N. p. forma instytucji rodziny małym uległa zmianom w długim szeregu wieków; natomiast społeczna jej funkcja zmieniła się radykalnie. Albo n. p. instytucja własności indywidualnej: istnieje ona w antycznym społeczeństwie niewolniczym i w ustroju feodalnym i we wszystkich fazach ustroju kapitalistycznego i w ustroju socjalistycznym. Forma jej uległa zmianom bardzo nieistotnym; podobnie treść, jeśli brać będziemy pod uwagę stosunek właściciela do rzeczy w poszczególnych przypadkach. Natomiast społeczna funkcja i istotny sens własności jest zupełnie inny w każdej z wielkich faz społecznego rozwoju. Dlatego tak bardzo niebezpieczne jest wyciąganie wniosków z obserwacji jedynie ewolucji form: dochodzi się wtedy do twierdzenia, że właściwie nic nowego pod słońcem — wbrew oczywistości.

Prawo ewolucji instytucji życia społecznego nie oznacza bynajmniej, że **każda** z tych instytucji, których jest tak wiele i coraz więcej we współczesnym, coraz bardziej skomplikowanym życiu, rozwija się i zmienia równomiernie wraz ze zmianą podstawowych warunków gospodarczych i społecznych. Tempo dostosowywania poszczególnych instytucji do zmienionych warunków bywa różne, nieraz nawet bardzo różne. Tak jak w przyrodzie spotykamy derelikty minionych epok, które uszły procesom ogólnego rozwoju, tak i w życiu społecznym poszczególne instytucje trwają nieraz znacznie dłużej, niż ich epoka i pozostaja często w sprzeczności ze współczesnością. W dobie szczytowego rozwoju kapitalizmu nie brakło przykładów derelików z epoki feodalizmu, a w fazie socjalizmu znalazłby się z pewnością niejeden zabytek okresu kapitalistycznego. Główny nurt rozwoju, zwłaszcza w przypadku gwałtownego przewrotu, kieruje sie przede wszystkim na zmiane fundamentalnych instytucji i pozostawia czasowo na uboczu inne, mniej bezpośrednio związane z zasadniczym układem stosunków. Pomijając jednak te skrajne przypadki, należy stwierdzić, że i poza tym siły, napierające na zmiane, nie działają jednakowo mocno i jednakowo szybko na wszystkie instytucje, a działajac, napotykają na różne siły oporu. Stad różne są w czasie i przestrzeni efekty działania. Nie mniej przeto, jeśli weźmiemy pod obserwację dłuższy okres czasu, stwierdzimy, że prawo ewolucji, wyrażające się w przystosowywaniu poszczególnych instytucji do zmienionego układu sił ekonomicznych, działa zawsze i wszędzie. Nie podlegaja mu jedynie takie instytucje, które w zmienionych stosunkach traca w ogóle wszelki sens społeczny, a które mimo to mogą jeszcze trwać nawet czas dłuższy, ale już tylko jako puste formy tradycyjne, nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebne, ale też i nieszkodliwe.

Zmiany są bezpośrednim albo pośrednim wynikiem walki. Walka klas jest zasadniczym tłem wszelkich przemian. Jednakże interesy klasowe, o które się walczy, rzadko kiedy wysuwane są wyraźnie i otwarcie, jako istotne motywy walki. Prawdziwe motywy, zwłaszcza ze strony broniących swego stanu posiadania, ubiera się przeważnie w kwiaty różnych ideologii, czy to będzie dobro „narodu", interes „państwa", solidaryzm społeczny czy też co innego.

Walka polega na łamaniu oporów. Opory pochodzą przede wszystkim z obrony własnych interesów. Sa jednak i inne jeszcze opory i to bardzo mocne. W szczególności wokół każdej instytucji tworzy się w danej epoce specjalna ideologia, która oczywiście ma swoje źródło w danym układzie stosunków gospodarczych i społecznych i na dnie której znaleźć można zawsze czyjeś interesy. Ci jednak, którzy w danej epoce panują — przy pomocy stojących do ich dyspozycji instrumentów panowania — potrafią zaszczepić swoja ideologie innym, nawet tym, których interesy sa wręcz przeciwne. Robotnik poczyna wierzyć w świętość prywatnej własności i w błogosławione skutki prywatnej inicjatywy, jako motoru działalności gospodarczej; chłop poczyna wierzyć w zbawienna rolę prywatnej wielkiej własności i t. p. W ten sposób ideologia, będąca w istocie rzeczy pochodną grupowych interesów gospodarczych odrywa się częściowo od swojego źródła, usamodzielnienia się w pewnym stopniu, zdobywa sobie zasięg znacznie szerszy.

Tym się tłumaczy przynajmniej częściowo to paradoksalne na pozór zjawisko, że ideologie mają często żywot znacznie dłuższy, aniżeli układ stosunków, który je wytworzył. Oderwane od źródła stanowią one wtórne wprawdzie, ale bardzo mocne opory, przeciwstawiające się przystosowaniu starych instytucji do nowych warunków. Jedni szermują starą ideologią perfidnie dążąc do powrotu dawnych warunków, odpowiadających ich grupowym interesom. Inni opierają się zmianom, bo wyznają ideologię, którą im potrafiono wszczepić wbrew ich interesom.

2. OPORY IDEOLOGICZNE.

Zjawisko oporów „ideologicznych" występuje szczególnie silnie i jaskrawo w t. zw. okresach przejściowych. Taki właśnie okres przeżywamy obecnie.

Podstawowy układ stosunków gospodarczych i społecznych, a w nieodpartej konsekwencji także politycznych, uległ u nas po wyzwoleniu zmianom gruntownym i rewolucyjnym. Wprawdzie prywatny kapitalizm nie został całkowicie usunięty z życia polskiego, ale zdecydowanie przestał być podstawa ustroju gospodarczego, przyjmując na się wyznaczoną mu skromna role czynnika, uzupełniającego system gospodarki uspołecznionej i podporządkowanego jej nakazom. Drugi filar starego ustroju — obszarnictwo rolne — został zdruzgotany kompletnie i nieodwołalnie. W następstwie tego tworzy się również nowy ustrój polityczny, którego istota tkwi w uspołecznieniu, uludowieniu organizacji państwowej.

Jednakże **świadomość** doniosłości przemian w układzie podstawowych stosunków, a zwłaszcza dalekosiężności konsekwencji tych przemian nie stała się bynajmniej jeszcze dobrem powszechnym Polaków. Akceptuje się na ogół dokonane, **poszczególne** zmiany; natomiast wielu, bardzo wielu nie zdaje sobie jeszcze sprawy z **ogólnego** sensu zmian, traktowanych w całości i we wzajemnym związku. Jedni przyjmują zmiany z radością, inni ze szczerą czy udaną rezygnacja. Co się stało, to sie nie odstanie, powiada się zazwyczaj. Ale mało kto dotychczas rozumie, że to co się stało jest tak podstawowe i doniosłe, że wymaga w nieodpartej konsekwencji zmiany tego, co się jeszcze „nie stało". Zmiana fundamentów wymaga dostosowania i zmiany wszystkich istotnych składników budowy, która się na nich wspiera. Inaczej cała budowa może się zawalić!

Tymczasem stare ideologie, dotyczące szczegółów struktury społecznej i politycznej, żyją jeszcze i stwarzają dodatkowe opory w przebudowie całości na nowych fundamentach. Ideologie owe są podtrzymywane przez normy i konstrukcje prawne które, pochodząc z okresu minionego, utrzymały się w formalnej mocy w okresie przejściowym.

Funkcją społeczna wszelkiego prawa jest **utrwalenie** stosunków, instytucji i pojęć, właściwych **danej** epoce rozwoju społecznego. Tę samą funkcję spełniało prawo w epoce minionej: odpowiada ono układowi sił społecznych, który już należy do przeszłości. Jeżeli mimo to wiele, bardzo wiele spośród norm i konstrukcji prawnych, pochodzących z przeszłości i wynikających z ówczesnego układu stosunków, nie zmieniono dotychczas mimo niedostosowania ich do nowego ładu, to stało się tak dlatego przede wszystkim, że po prostu uczynić tego nie zdążono. Albowiem przy wszystkich analogiach, jakie można przeprowadzić miedzy budową domu i budowa państwa, zachodzi między jednym a drugim jedna kapitalna różnica: dom musi się budować stopniowo jedna kondygnację po drugiej, gdy tymczasem państwo musi powstać odrazu ze wszystkimi istotnymi składnikami, inaczej bowiem nie byłoby państwem. A ponieważ wszystkich nowych składników od razu stworzyć nie podobna, więc z konieczności, aby nie wytwarzać pustki, której istota państwa nie znosi, pozostawia się tymczasem składniki stare, wymieniając je stopniowo. Ten skądinąd konieczny proces stopniowej przebudowy ma jednak tę ujemną stronę, że pozostawione chwilowo w mocy stare normy i konstrukcje wspierają przestarzałe ideologie i umacniają w wierze opornych, z jakichbykolwiek motywów ich opory pochodziły.

Tego rodzaju instytucji nie przebudowanych i nie dostosowanych do zmienionych fundamentów jest jeszcze bardzo wiele w naszym życiu państwowym. Wśród nich bardzo poczesne miejsce zajmuje **samorząd.** Oporów i sporów jest na ten temat bodaj jeszcze więcej, niż na temat jakiejkolwiek innej instytucji. Pochodzi to stąd, że samorząd był i pozostał instytucją, dotyczącą bezpośrednio życia szerokich mas ludności a więc instytucja bardzo popularną i w niedawnej naszej przeszłości odgrywał dużą rolę nie tylko z punktu widzenia techniki zarządzania sprawami publicznymi, ale także i to może jeszcze w wyższym stopniu ze względów politycznych. Ideologia narosła wokół samorządu jest szczególnie wyrazista i mocna. Tym bardziej wypada nam poddać analizie istotne składniki tej instytucji i wytworzonej wokół niej ideologii, wyprowadzić właściwą ich genealogię i ocenić, czy i jaką rację bytu zachowały one a wraz z nimi cała instytucja wobec zmienionych fundamentów naszego zbiorowego życia.

3. „SPRAWY MIEJSCOWE"

Samorząd jest instytucją bardzo starą. Przetrwał różne fazy społecznego rozwoju, charakteryzujące się różnymi układami podstawowych stosunków. W rozmaitych warunkach kształtowały się jego charakterystyczne cechy i tworzyły się pojęcia, z których wiele przetrwało do chwili obecnej. Ale, jak wiemy, cechy danej instytucji, utrwalone w prawie i towarzyszące im pojęcia, trwają częstokroć dłużej, aniżeli warunki, które uzasadniają ich powstanie. Tak się ma również sprawa z samorządem.

Samorząd a szczególnie samorząd terytorialny, najstarszą i najbardziej typowa forma tej instytucji, istniał w czasach, które dziś nazwalibyśmy pierwotnymi, kiedy niski poziom techniki całego ówczesnego życia czynił z poszczególnych miejscowości i okręgów jednostki izolowane i odseparowane od siebie, żyjące z konieczności życiem własnym, odrębnym od innych. Więź mniej lub więcej bezpośrednio sąsiedzka, na której opierał się samorząd miejscowy, była wtedy — w braku innych, szerszych — główną podstawą społecznego życia.

Takiemu układowi faktycznych stosunków po stronie ogółu jednostek terytorialnych w państwie odpowiadała charakterystyczna sytuacja samego państwa, jako najszerszej organizacji. Mianowicie państwo ogranicza swój zkres działania w stosunkach wewnętrznych do minimum, uzasadnionego koniecznością, bo faktycznym układem stosunków z których tylko mała część może ono bezpośrednio opanować. Resztę, olbrzymią resztę, pozostawia innym instytucjom, działającym wewnątrz terytorium państwowego a więc samorządowi miejscowemu, organizacjom stanowym, a także kościołowi.

Na tym tle rzeczywistych warunków ówczesnego życia wytwarza się koncepcja samorządu, jako instytucji samoistnej, odrębnej i niezależnej od państwa powołanej do zaspakajania potrzeb „miejscowych" w przeciwieństwie do potrzeb „państwowych", którymi zajmuje się państwo. Wytwarza się pojęcie przeciwstawności spraw lokalnych, „samorządowych", z jednej i spraw ogólnych, „państwowych" — z drugiej strony. Cała ta koncepcja i wynikające z niej konsekwencje były całkowicie uzasadnione **ówczesnymi** warunkami życia.

Ale warunki zmieniaja się. Raz powoli, to znowu gwałtownymi skokami. Postęp stopniowo burzy układ stosunków, w których gromady ludzkie żyły z konieczności w izolacji, zdane tylko na więź sąsiedzką, jako jedyną czy główną podstawę wspólnoty. Gospodarka wymienna wypiera coraz bardziej dawna gospodarkę naturalną. Rozwój produkcji fabrycznej powoduje masowe wędrówki ludności, którą dotychczas skazana była z dziada pradziada na życie w własnych okręgach terytorialnych. Postęp techniczny w dziedzinie komunikacji i łączności zbliża ludzi, którzy poprzednio nawet wiedzieć o sobie nie mogli. Tworza się nowe rodzaje więzi, obejmujących coraz szersze koła, z których podstawowa i najmocniejszą staje się wspólność sytuacji społeczno-gospodarczej, wynikajaca z nowego, klasowego ustroju społeczeństwa.

Rzecz prosta, że przemiany nie dokonują się równym krokiem wszędzie. W niektórych państwach występuje jaskrawo zjawisko niedorozwoju gospodarczego i społecznego; wtedy widzimy, nawet na jednym i tym samym terytorium państwowym, jaskrawe sprzeczności, jak daleko posunięta industrializacja i urbanizacja niektórych okolic (u nas w okresie miedzywojennym okręg śląski lub łódzki) z jednej strony, a życie w izolacji, nieomal jak przed wiekami — z drugiej strony (u nas wiele okręgów wiejskich). Zanotujmy: fakt opóźnionego rozwoju u nas i przetrwanie życia w izolacji na stosunkowo szeroką skalę — stwarza podatny grunt do podtrzymywania tej koncepcji samorządu, która tkwi swymi korzeniami w zamierzchłych czasach stosunków pierwotnych.

Wracając do pojęcia „spraw miejscowych" w przeciwieństwie do „spraw ogólnych", należy stwierdzić że postęp przejawia się na ogół w stopniowym przenoszeniu poszczególnych zagadnień z pierwszej kategorii do drugiej. Proces ten przedstawmy sobie obrazowo n. p. na przykładzie zagadnienia światła w małym miasteczku. Początkowo zagadnienie to jest rozwiązywane wyłącznie indywidualnie przez posiadanie jakichś kaganków w domostwach mieszkańców i posługiwanie się przez każdego z osobna latarniami ręcznymi w razie konieczności przejścia przez miasteczko w ciemnościach. W następnym stadium znajdziemy już jakaś prymitywna latarnię naftowa, umieszczona na stałe w punkcie bardziej uczęszczanym. Jeszcze później spotkamy mała lokalną elektrownię, dostarczającą pradu do mieszkań i do oświetlenia ulic. Aż wreszcie miasteczko włączy się w okręgową czy ogólno-państwowa sieć elektryfikacyjną. Granica między sprawą lokalną a ogólną zatrze się wtedy całkowicie. Podobny proces przechodzą inne „sprawy" i zagadnienia, jak szkoły, urządzenia zdrowotne, opiekuńcze, komunikacyjne i t. d.

W tym procesie stopniowego, że się tak wyrażę, uogólniania się czy unaradawiania spraw miejscowych, można wyróżnić dwa zasadnicze momenty, które splatają się w jeden nurt, przeobrażający pierwotny układ stosunków. Z jednej strony wzrasta, rozszerza się i przybiera na intensywności współzależność jednostek i gromad ludzkich, w tej liczbie również gromad, opartych na wspólności sąsiedzkiej. Wskutek tego rozrasta się i zagęszcza zakres spraw ogólnych. Sprawa szkoły w danej wsi, czy stanu zdrowotnego jej mieszkańców interesuje znacznie szerszy ogół, bo całe społeczeństwo, albowiem od takiego albo innego jej rozwiązania zależy bezpośrednio układ stosunków ogólnych w danej dziedzinie życia. Z drugiej strony postęp techniczny stwarza możliwości lepszego rozwiązywania zagadnień w skali szerokiej, ogólnej, aniżeli było to dotychczas możliwe w skali jedynie miejscowej. Przykład energii elektrycznej jest drobnym ale bardzo charakterystycznym dla tego zjawiska.

Procesowi, o którym mowa, odpowiadają nowe systemy zarządzania sprawami społeczeństwa, które są wyrazem zmienionych i wciąż zmieniajacych się warunków: rozmaite, na ogół chwiejne próby „gospodarki kierowanej", przeradzające się coraz częściej i wyraźniej w system gospodarki planowej. Jest rzeczą jasną, że plany narodowe muszą obejmować wszystko, co ważne i istotne w życiu społeczeństwa, w tej liczbie także wiele z tego, co było i jest domeną działalności samorządu.

4. ROZWÓJ „SAMORZĄDU"

Proces unaradawiania się potrzeb oraz sposobów ich zaspokajania jest w ciągłym ruchu i nie oznacza bynajmniej, że w każdej chwili wszystkie potrzeby i cała technika zaspakajania ich są już „ogólne" i unarodowione, a tym bardziej w jednakowym stopniu. Życie wysuwa coraz nowe potrzeby, nowe zagadnienia i nowe sposoby technicznych rozwiązań, które podlegają temu procesowi. Gdybyśmy na chwilę potrafili ten ciągły ruch wstrzymać, ażeby stwierdzić, w jakim stadium rozwoju jesteśmy, zobaczylibyśmy obraz dość złożony. Jedne zagadnienia są już całkowicie wciągnięte w orbitę życia narodowego, uznane za wspólną sprawę całego społeczeństwa i rozwiązywane mniej lub więcej ogólnymi metodami. Obok nich znajdziemy sprawy, które uznaje się bezspornie za „ogólne", co do których jednak nie wykształciły się jeszcze metody ogólnych rozwiązań, albo też znane i uznane rozwiązania nie dadzą się jeszcze zastosować z różnych przyczyn, przede wszystkim finansowych. Tak więc uznając planową sieć ogólną w zakresie elektryfikacji za najlepsze rozwiązanie potrzeby uważanej za sprawę narodowa, godzić się musimy **przejściowo** z istnieniem wielu miejscowości bez światła w ogóle albo oświetlonych przy pomocy lokalnych źródeł energii. Podobnie uznając potrzebe zdrowej wody za sprawę ogólną, a nie tylko lokalną, a zaspokojenie tej potrzeby przez okręgową czy nawet szerszą sieć wodociągów za najlepsze rozwiązanie techniczne, godzić się musimy z tym faktem, że gromadzka studnia we wsi jest **tymczasem** wyrazem postępu w tej dziedzinie. Poza tym widzimy szereg spraw, wynikających ze szczególnych warunków w danej okolicy czy nawet miejscowości; i te także są niewątpliwie związane z całością życia społecznego i interesują ogół, ale stopień tego związku jest aktualnie stosunkowo słaby. Wreszcie: wiele (jeżeli nie wszystkie) z problemów życia zbiorowego, nawet najbardziej narodowego charakteru ze względu na swoją istotę, posiada pewien **koloryt** lokalny, gdy chodzi o ich realizację. I ta pewna odrębność kolorytu stawia swoje wymagania organizacji i technice rozwiązań.

Na jedno jednak musimy się zgodzić: nie ma dziś spraw z **natury** swojej lokalnych, które by można było **przeciwstawić** sprawom ogólnopaństwowym. Każda sprawa jest sprawą ogólną, przynajmniej potencjalnie. Proces unaradawiania się potrzeb i zagadnień życia zbiorowego jest w pełnym ruchu i jest wyrazem postępu. W każdym razie objął on już i skonsumował najważniejsze, można powiedzieć, klasyczne dziedziny pracy samorządu, jak zdrowie, opieka społeczna, oświata, komunikacja i wiele innych. I w każdym razie na przeciwstawności spraw lokalnych i spraw ogólnonarodowych nie można budować dzisiaj koncepcji samorządu.

Faktyczny rozwój samorzadu we wszystkich krajach dowodzi prawdziwości powyższych twierdzeń. Albowiem wszędzie, i to od dawna, czynnik centralny wkroczył głęboko i szeroko w sferę dawniejszych „spraw lokalnych" sprowadzając je różnymi sposobami do jakiegoś przynajmniej mniej więcej wspólnego, ogólnonarodowego mianownika.

Anglia np. pozornie pozwala zarządom lokalnym rozwiązywać w sposób dowolny nawet bardzo ważne problemy życia narodowego, rzadko tylko uciekając się do regla-

---

*) Artykuł prof. Jaroszyńskiego stanowi część pierwszą studium o „Samorządzie w Demokracji Ludowej".

mentacji przy pomocy ogólnie obowiązujących norm prawnych. W rzeczywistości jednak są to tylko pozory. Biorąc rzecz od strony formalnej nie znajdziemy w tym kraju np. policji państwowej (poza centralnym Scotland Yardem); policję organizuje każde hrabstwo z osobna dla siebie i — teoretycznie — tak jak mu się podoba. Tymczasem wiemy, że policja we wszystkich hrabstwach jest zorganizowana jednolicie, aż do ostatniego guzika przy mundurze i ostatniego słowa regulaminu służbowego. Podobnie ma się rzecz z innymi zagadnieniami. Tajemnica tkwi w systemie finansowania. Mianowicie znaczną część potrzeb „miejscowych" finansuje się z funduszów centralnych w postaci dotacji i pożyczek, którymi dysponuje rząd, a dysponując — stawia warunki. Tą drogą, jak się wyraził Sidney Webb, rząd „kupił" sobie powolność zarządu lokalnego.

Innymi drogami, ale mniej więcej z tym samym skutkiem, poszedł rozwój na kontynencie europejskim, między innymi i w Polsce. Tu rozbudowano na wielką skalę tzw. ustawowy, obowiązkowy zakres działania samorządu, normując od góry, co, a bardzo często także i jak, samorząd ma robić i zacieśniono formalny nadzór rządu nad samorządem. Równocześnie zreglamentowano bardzo ściśle dochody samorządu, które kształtują się z reguły poniżej zapotrzebowania na pokrycie wydatków, wynikających ze zreglamentowanych prawnie obowiązków. W ten sposób swobodę decyzji samorządu w sprawach rzekomo „lokalnych" sprowadzono nieomal do fikcji.

Mimo oczywistej sprzeczności z całym rozwojem stosunków we współczesnych społeczeństwach i faktycznym rozwojem samej instytucji samorządu, w rozpowszechnionej koncepcji samorządu i towarzyszącej jej ideologii tkwi wciąż jeszcze, jako element bardzo istotny, przeciwstawność spraw lokalnych i ogólnych. Podpierają ją formuły obowiązującego prawa. I to nie tylko pochodzące z okresu przedwojennego; dekret o samorządzie teryt. z r. 1944—wbrew tendencjom ustawy o radach narodowych — zaliczą do zakresu samorządu terytorialnego „sprawy publiczne o **znaczeniu lokalnym**". Prawdopodobnie formułę tę należy przypisać „fachowcom", zapatrzonym w przeszłość i myślącym kategoriami przeszłości, którzy dekret redagowali, a których politycy nie skontrolowali dostatecznie w tym punkcie, jak to często bywa.

Podobnie ma się sprawa z finansami samorządu. Mimo oczywistego unarodowienia potrzeb, obsługiwanych przez samorząd, usiłowało się i usiłuje rozwiązać problem sfinansowania tej obsługi za pośrednictwem systemu danin „lokalnych", ściśle odgraniczonych od danin „państwowych". Jest to kwadratura koła. Albowiem w dzisiejszym układzie stosunków gospodarczych o „lokalności" daniny mogą decydować jedynie praktyczne względy techniki wymiaru i poboru danin, a nie żadne inne. Trudno zaś przypuścić, aby wydajność danin, które ze względów technicznych wygodniej wymierzać i pobierać lokalnie, pokrywała się z zapotrzebowaniem na obsługę potrzeb ogólno-narodowych często o kapitalnym znaczeniu dlatego tylko, że potrzeby te obsługuje samorząd.

(d. c. n.)

Maurycy Jaroszyński

Kazimierz Piotr Nowak

W POKŁONIE PRZED GAZECIARZEM

USA, w październiku 47 r.

Najpierw wspomnienia. Przed wojną stan czytelnictwa wsi polskiej był więcej, niż skandaliczny i haniebny. Był chyba największą bolączką narodową, bo z ciemnoty i nieuświadomienia narastały nowe szkody. Nawet w tak 100% wiciowych wsiach jak Bałdrzychów, czytano mało — mimo ciągłych kursów, zebrań i wieców tam urządzanych — i mimo osobistego wpływu i uroku kol. Ignara. Ile tak egzemplarzy „Wici" przychodziło do Bałdrzychowa — prenumerowanych poza kołem? — Zaledwie kilka! I oprócz tego kilka egzemplarzy „Zielonego Sztandaru", „Młodej Myśli Ludowej", „Piasta" i jeden egzemplarz „Ameryki Echa", bo jej prenumerator nienawidził księży katolickich i zdawało mu się, że brudne historyjki o księżach i ich gospodyniach, lub o „papieżycach", są gwoździem spraw chłopskich, od których trza zaczynać. Nieborak, w najlepszych chęciach psuł i zrażał więcej, jak robił. Jestem piewien, że więcej w Bałdrzychowie czytano „Rycerza Niepokalanej" jak „Wici". — Nic dziwnego, że potem księdzu tak łatwo przyszło założyć „Kółko Żywego Różańca", ze starych, a zawiedzionych panien. Gorzej jeszcze było w sąsiednich wiciowych „twierdzach" — w Pudłowie i Górze Bałdrzychowskiej. W Górze Bałdrzychowskiej poza rodziną zapomnianego, świetnego chłopskiego pisarza Wincentego Gortata, autora monografii „Góry Bałdrzychowskiej i Byczyny", czytały jeszcze dwie czy trzy rodziny. A reszta — ta „wiciowa" i „ludowa?" — Otrzymywała za darmo „Rycerza Niepokalanej"! W mojej rodzinnej wsi, w „szlacheckim" i „hipotecznym", mój Boże, Kałowie, gdzie to „panna" wstydziła się nieść widły czy grabie i wlokła je z tyłu, za sobą, aby ludzie nie widzieli, było jeszcze gorzej. „Rycerz i Rycerzyk Niepokalanej" panowały tu wszechstronnie, a poza moją rodziną — właściwie nikt nie czytał wiele. Nie piszę tego, aby swą rodzinę chwalić, po prostu stwierdzam fakt, że jako „rebelianci" wioskowych stosunków, czytali sporo. Cały rozległy klan. A pozatem? Prawie że nikt. I znamienna rzecz — że ci którzy mogliby— nie czytali, a zato biedota czytała. Pamiętam — ja uchodziłem za pewien rodzaj wsiowej pokraki, bo wódki nie chciałem pić, ani papierosów palić, na zabawy, majówki i inne potańcówki, gdzie za wstęp płaciło się nawet 25 groszy, włączając w to kolację (no joke, son!) nie chodziłem, woląc prenumerować różne pisma. (Ten błogi stan pobłażania i pogardy minął, gdy zacząłem pisać — i to o własnej wsi. Przerodził się w szał nienawiści u niektórych — uważajcie i Wy, Pogan — i trwa zapewne do dziś). Takie to były ustalone formy życia i „formy towarzyskie" wsi. Młody powinien pić i palić,, uwodzić dziewczęta — czy jak kto woli „wyzgulichy" — ale nie czytać i to kilku gazet naraz. Zainteresowanie? Zainteresowanie możnaby stworzyć i to łatwo — gdy się do tego podejdzie umiejętnie. Dowody? W moim, jako się rzekło „szlacheckim" Kałowie (pieron wie, skąd taka potwarz na wcale zresztą porządną wieś?) ksiądz, nawet tak znienawidzony, jak osławiony jezuita Jawor, potrafił sprzedawać **za gotówkę**, co niedziela po 40 egzemplarzy tygodnika diecezjalnego „Słowo katolickie" — a z okazji Wszystkich Świętych, Bożego Narodzenia, Trzech Króli, Wielkanocy i powszechnej, raz do roku, spowiedzi, nawet więcej. I kupowali ludziska — bo ksiądz zachęcał, czasem coś z gazety zamiast kazania przeczytał, (to były szczęśliwe i radosne niedziele) — stwarzał zainteresowanie. „Rycerza" czytali, bo nie tylko, że był darmo, ale i czasem braciszkowie z Niepokalanowa, per pedes przebrnęli, do czytania zachęcając. A pisma ludowe? — Zachęcały do czytania tych, co czytali — na nie — czytelników nie wywierały te zachęcania najmniejszego wpływu, bo o nich wcale nie wiedzieli. Czasem zjawiał się jakiś kolporter — ale po krótkim czasie jego zapał, jak słomiany ogień, znikał — i kolportaż ustawał, a ludzie którym taki zapaleniec, gdzieś w zapomnieniu zarwał 10 groszy, klęli na czym świat stoi i do drugiego odnosili się wręcz wrogo. Co tu dużo mówić. W Polsce jest niechęć do pracy — nawet nienawiść, przestańmy sobie wmawiać, że nie, bo tak, Jeśli ktoś się uczy to poto, aby zostać PANEM DOKTOREM, PANEM ADWOKATEM, PANEM URZĘDNIKIEM, nauczycielka jest też PANI, wójt jest PON, sołtys też chce aby go tytułować, nie mówiąc o organiście i woźnym w gminie — i każdy, uderzmy się w piersi, myśli o tym aby — pracować lekko, aby siedzieć w biurze, a co druga dziewczyna marzy o wyjściu za PANA — (te pierwsze wolą też PANÓW — oficerów). Tak było i nie jestem sobą, jeśli tak nie jest. Panowała, powiedzmy skromnie — niechęć do ciężkiej pracy i do pewnych zawodów, z których najwięcej upośledzonym był właśnie gazeciarz. Gazeciarz to w pojęciu polskim obdarte indywiduum, pół pijane, pół przytomne, w za dużej czapce ze złamanym daszkiem, golące się cztery razy do roku, ochrypie porykujące po rogach ulic: „Eeechooo Łódzkieee" czy „Wieczóóóórrr Warrrszawskiii", a jeśli sprzedawcą było dziecko, z góry się było pewnym (w opinii „pewnych sfer") — że to znajda, lub co najmniej nieślubny podarunek przelatujących bocianów. Jakże inaczej ta sprawa przedstawia się w Ameryce, która, nawet p. Skulski to przyzna, jest krajem, gdzie ludzie pracują — i w pracy nie przebierają, a wielu woli pozostać robotnikami aniżeli zostać nauczycielami — (którzy nie są zresztą ani Sir, ani nawet Mister — tylko yon'u i teacher — i jak obecnie, to stale strajkują). Tu gazeciarz — to zawód uznany i respektowany, tak samo jak każdy inny. Właściciele kiosków na rogach ulic zarabiają ładnie — i takie kioski są kosztowne. Jeden z moich znajomych sprzedał niedawno taki kiosk w Downtown Detroit za 60 tysięcy dolarów i do dziś popłakuje że się oszukał. Ale poprzez kioski dociera do ludności zaledwie 10% prasy. Pozostałe 90% rozprowadza nie kioskowa arystokracja — ale gazeciarski plebs — „The news carriers" — roznosiciele gazet. Roznosiciele gazet — i zarazem kasjerzy, (zbierają pieniądze raz na tydzień), dostarczają codziennie gazetę do domu, położą pod drzwiami, czasem okno wybiją, gdy deszcz pada, chcąc do środka ją wrzucić, aby nie zmokła. Ci gazeciarze — to dzieci, to młodzież szkolna, w większości olbrzymiej **uczniowie niższych klas gimnazjum** — i to dzieci nieraz bardzo zamożnych rodziców, którzy wcale w fakcie „gazeciarstwa" dziecka, nie widzą dla siebie żadnej ujmy — ale są zadowoleni, że chłopak zarabia na siebie, uczy się pracować i uczy szanować cudze pieniądze. Ciekawe, czy w Polsce różni wzdychający do Ameryki PANOWIE zgodziliby się, aby ich dziecko roznosiło gazety? Amerykę można u siebie stworzyć — pracą! Gazeciarze — the carriers — nie są wcale czymś pogardzanym. Są nawet ważną instytucją w amerykańskim życiu, instytucją nawet nieodzowną — tak samo jak „drugstore" — apteka na rogu i „coca cola", czy „hot dogs" — „gorące pieski" (jak tu nazywają parówki). Nikomu nie przychodzi na myśl wyśmiewać gazeciarza, który zarabia zresztą nieźle, (chłopiec roznoszący codziennie 125 egzemplarzy dostaje tygodniowo 23 dolary, t. j. trochę mniej od tego, co zarabia krawcowa). — Mało? Wielkie pisma dbają szczególnie o gazeciarzy. Zapraszają ich na przedstawienia do cyrków — wstęp wolny dla każdego ich gazeciarza, urządzają konkursy na zdobywanie nowych czytelników i wyróżniających się wysyłają na wycieczki po całym kraju, często do Waszyngtonu, do New York City, do Yellowstone czy Colorado — albo nawet do Kanady. Inni otrzymują nagrody pieniężne, radioaparaty, rowery, zegarki, piłki itd. itd. Wielkie pisma po prostu ubiegają się o wpływy i popularność wśród gazeciarzy — bo oni są właśnie tymi, którzy stanowią o cyrkulacji pisma, którzy je rozprowadzają. Niema pogardy dla gazeciarza. Wszyscy się schylą w pokłonie przed nim — od wydawcy do ostatniego reportera, od ogłaszającego się codziennie sklepu, do czekającego na wyniki meczu baseball, jak na mannę z nieba, robotnika fabrycznego. Taki Detroit News urządza co roku „The Good Fellows Day" — który jest dniem gazeciarza. Starzy, dawni gazeciarze, biorą swe dawne torby i idą sprzedawać gazetę. Są to często wysocy urzędnicy, policjanci, lekarze, adwokaci, sędziowie, nawet przemysłowcy. Byli kiedyś gazeciarzami — od tego zaczynali, to był ich start. Dziś, nie wstydząc się, z dumą sprzedają gazetę, jak za dawnych czasów. To popularyzuje pismo — a uczniaka gimnazjum i roznosiciela gazet zarazem czyni ważniejszym w jego własnym samopoczuciu. Dlaczego to piszę Wam do „Wsi"? Toczy się u was dyskusja, w której wszyscy się zgadzają, że ludzie na wsi za mało czytają. I głowią się, jak tę sprawę rozwiązać? Najlepiej podszedł do tej sprawy, moim zdaniem St. Paleczny (Wieś Nr 35). Stanowczo niewłaściwym jest pomysł A. Trepińskiego, nie zmierza on do niczego innego, jak do zbiurokratyzowanego urzędu kolportacji na kołach, który niczego nie dokona, poza zużyciem aut — które gdzie indziej są potrzebne i wydatkami na benzynę i pensje dla **kilku w każdym(!)** samochodzie PANÓW operatorów. Samochód musi być oczywiście ładny, napisy z obydwu stron, — zapomniał p. Trepiński dodać napisy z tyłu, z przodu i na dachu! Oczywiście personel będzie jeździł regularnie jak pociąg, „zadzierzgując kontakty" z nauczycielstwem, duchowieństwem itp. „PAŃSTWEM". A chłop psiakrew to co? Samochód go błotem ochlapie, a chłop gazety nie kupi i jeszcze klął będzie, że za podatkowe pieniądze „szubrawce" się rozbijają! Nikt z tego nie skorzysta napewno — i jeśliby pomysł Trepińskiego wszedł kiedyś w życie — to przysporzył by tylko Polsce zmartwień i wydatków. Oczywiście, że „prototypem" tej księgarni będzie hitlerowska „Frontbuchhandlung" — no i ta regularność pociągowa to też coś mi znanymi powszechnie wzorami zalatuje. Nie miałem, Bogu dzięki, jak p. Trepiński, możności oglądania tych frontowych, niemieckich księgarni — ale niech nas Bóg broni, abyśmy się mieli na nich wzorować! Co tu dużo mówić, pomysł p. Trepińskiego woła o straż pożarną na pomoc przeciw skandalowi! A może by tak raz po amerykańsku — niech malkonentom zbieleje oko — poprzez chłopskie dziecko?! A możeby tak zamiast poszukiwać kolporterów z rowerami — po prostu zrobić to po przez szkoły? Zrobić konkursy na zdobywanie czytelników dla dzieci — płacić za rozprowadzanie pisma, wyróżniających się posłać na wycieczkę w Góry Olbrzymie, do Szczecina i Koszalina, w Tatry lub Lubelszczyznę! Nie zabroni ojciec — matka, gdy dziecko kilka złotych zarobi, będą zachęcać gdy się dowiedzą, że dziecko może jechać na wycieczkę, nie mówiąc o ogromnym wpływie wychowawczym i bezpośrednim zainteresowaniu pismem także i dziecka — które napewno czytelnikiem zostanie na całe życie!

Więcej pism rozprowadzi chłopskie dziecko — gdy je się do tego umiejętnie zachęci, niż kosztowne autobusy „zadzierzgujące kontakty" i kursujące z regularnością pociągu! Czas stworzyć sieć małych, chłopskich kolporterów, czas ze wsi usunąć — jak i z całej Polski gazeciarską odrazę — czas tą sprawą zająć się naprawdę! Nikt tego nie zrobi lepiej od młodzieży — której trzeba dać także szansę i zarobku i obejrzenia szerokiego świata. Może to będzie zrazu kosztowniejsze jak auta, może trzeba będzie dołożyć — ale **to wsi się dokłada, i stwarza się w ten sposób kapital, który nie przepadnie**— i to buduje się podwaliny pod gmach — najmocniejszy, bo z młodych serc stworzony. Czapkę w garść (jeśli ktoś nie posiada kapelusza) i w pokłon przed małym, chłopskim gazeciarzem! Zobaczycie, ze i w Polsce, na polskiej wsi, będzie można osiągnąć cyrkulację pism i książek równą amerykańskiej.

Anna Kamieńska

W POLSCE INACZEJ

Kazimierz Nowak zabierając głos w dyskusji o czytelnistwie na wsi charakteryzuje słusznie stan tego czytelnictwa w związku z tradycyjnym systemem kultury wsi. Kultura ta dotychczas, jak stwierdza, zamyka się w kręgu parafii. Parafialny kolportaż propagandowych pisemek religijnych ma w niej z dawna utarte drogi. Podkreśla także Nowak, że czytanie jest częściej czynnością biednych, niż bogatych chłopów. Wiadomo, że bogaci silniej tkwią w systemie kultury parafialnej, oni zakupują msze i noszą feretrony.

Lecz szukając środków rozwoju czytelnictwa na wsi polskiej Nowak, jak sądzimy, pomylił się. Przeniósł bowiem żywcem wzór amerykańskiej organizacji kolportażu pism w ustrój kulturalny wsi polskiej, zapominając o różnicach społecznych, które wyznaczają całkiem inną funkcję czytania książek i gazet w środowisku amerykańskim i na wsi polskiej. To samo dotyczy także pracy, która jak sądzi Nowak, jest w pogardzie u nas, a która zbudowała Amerykę. „Amerykę można u siebie stworzyć pracą!"

W liberalno-kapitalistycznm ustroju Ameryki każdy dąży do tego, aby być kapitalistą. Jest to coraz trudniejsze. Baza społeczna kapitalizmu finansowego coraz bardziej się kurczy. Coraz mniej możliwe stają się zawrotne kariery milionerów, wyrosłych ze sprytnych czyścibutów i obrotnych gazeciarzy. A jednak cechy te nadal są przydatne. Dziecko wcześnie uczy się praw ekonomii kapitalistycznej: wszystko można przeliczyć na pieniądze, wszystko da się kupić, trzeba posiadać i zarabiać, aby coś znaczyć w każdym, choćby najmłodszylm wiekiem, środowisku. W demokratycznym systemie wychowania amerykańskiego funkcja gazeciarza oceniana jest pozytywnie, rodzice cieszą się, że dziecko zarabia. I to, jak podaje Nowak, zarobek ten jest nie mały, starczy na coś więcej, niż guma do żucia. Prywatne firmy wydawnicze troszczą się o swoich gazeciarzy, przez których ręce przechodzą ich wielkie zyski.

My pragnęlibyśmy natomiast nie widzieć więcej u siebie małych chłopców z bosymi łydkami, zachwalających mowę Mikołajczyka w „Gazecie Ludowej" dawno po ucieczce tego polityka i małych dziewczyn wywołujących zachrypłym głosem nazwy dzienników. O wiele milsze wydawałyby się zajęcia wiejskich dzieci, pasienie krów, świń i gęsi wykonywane najczęściej w gospodarstwie rodziców a czasem u obcych (i w jednym i drugim wypadku praca w wyniku najemna). Pragnęlibyśmy, aby i dzieci wiejskich ani pasionka, ani żadne kopanie nie odrywało od zajęć szkolnych i nauki. Aby ich uspołecznienie dokonywało się nie poprzez pracę zarobkową, a poprzez organizacje młodzieżowe.

St. Rychliński w książce: „Przeobrażenia społeczne w Stanach Zjednoczonych na tle urbanizacji" (Warszawa 1937 r.) określa funkcję czytelnictwa w Ameryce jako przede wszystkim rozrywkową. Stąd i treść gazet obliczona jest przede wszystkim na popyt u mas, na sensację, patologię, rozrywkę, snobizm towarzyski płynący ze źródeł małomieszczańskiej kultury Stanów. Powieść, nowelę, opowiadanie zastępują rysunkowe historie w obrazkach popularne „komiki", które analizował nie dawno Aleksander Hertz w „Kuźnicy".

J. M. Nowak — korespondent „Odrodzenia" pisze zresztą o wsi amerykańskiej: „Kraj największej umysłowej apatii, umysłowego snu, w którym są psy i kury, złoci się kukurydza i spędza się leniwe popołudnia na ganku wiejskiego domu, ale spędza się nie myśląc o niczym, nie biorąc do ręki słowa drukowanego, chyba detektywną powieść. Niech myślą specjaliści. Ale i wśród specjalistów ta sama niezdolność myślenia poza własną dziedziną. Niech o rzeczach bardziej ogólnych myślą wyżsi specjaliści. Ale wyżsi specjaliści też tego nie umieją i myśli za nich Kapitał Bankowy". „Amerykę można u siebie stworzyć pracą!" — pisze nasz Nowak. Takiej Ameryki nie chcemy i oczywiście sam Nowak takiej amerykańskiej Polski nie chce.

„Rycerz Niepokalanej" nie napotyka na wielkie trudności kolportażu na wsi. Ba! bo też „Rycerz Niepokalanej" ma jeszcze ciągle bazę kulturalną parafii i ogranicza się na jej tle do posunięć technicznych. W naszej sytuacji problem rozpowszechnienia czytelnictwa pism i książek na wsi jest problemem znacznie bardziej złożonym. Jarmarki i stragany targowe były dotychczas ważnymi instytucjami kultury dla wsi polskiej. Zastępuje je coraz powszechniej spółdzielnia. Oto jest jeden z faktów ustrojowych, organizacyjnych, który mógłby zadecydować o obraniu nowych dróg dla szerzenia kultury. Artykuł Nowaka zwraca nam uwagę na grupę społeczną młodzieży, która powinna odegrać wybitną rolę w upowszechnianiu czytelnictwa. Chodzi jednak o to, aby nie było to działanie pojedyńcze, prywatne, jak w ustroju liberalnym, lecz opierało się o instytucję, której znaczenie społeczne równolegle do instytucji spółdzielni wzrosło i rozszerzyło się w ustroju demokracji ludowej — **o szkołę wiejską.** Wie o tym dobrze K. Nowak, że kultury nie rozprowadza się indywidualnie — na łebki, musi ona liczyć na podstawy instytucjonalnie. Kościół, plebania, bractwo różańcowe trzeba zastąpić inną siecią organizacyjną, nie indywidualnego i prywatnego, ale zbiorowego planu i działania. To właśnie jest przedmiotem dyskusji.

Tadeusz Orlewicz

ŚWIATOWA POLITYKA APROWIZACYJNA

OBRAZ OGÓLNY.

W dziedzinie aprowizacyjnej świat przeżywa poważne trudności. Trudności te istniały przed wojną i istnieją nadal w zaostrzonych kształtach i w spotęgowanej formie. Zagadnienie nędzy i głodu wielu milionów ludzi na świecie jest równie ważnym, jak i bolesnym problemem, którego rozstrzygnięcie leży na polu walki o ugruntowanie międzynarodowego pokoju, na polu walki o społeczne i polityczne bezpieczeństwo światowe.

W dziedzinie tej obserwujemy szereg faktów, które składają się na obraz interesującego nas zagadnienia żywnościowego.

ROK 1943.

Kiedy w roku 1943 wysunięto projekt stworzenia światowej Organizacji Rolnictwa i Żywienia Narodów Zjednoczonych (F.A.O.), szereg krajów spośród 44 państw biorących udział w tej konferencji stanęło przed koniecznością zrewidowania swoich poglądów na sprawy aprowizacyjne w skali międzynarodowej.

W roku 1943, jednym z sześciu lat ostatniej zawieruchy wojennej, stwierdzono olbrzymie dysproporcje w wyżywieniu ludności na świecie i produkcji rolniczej państw. Już wówczas obliczono, że 35% ogółu ludności na świecie głoduje, że kiedy miliony ludzi ginie z wyczerpania głodowego, wiele krajów pali lub niszczy płody rolne zebrane w nadmiarze, nie podejmując inicjatywy sprawiedliwej i słusznej dystrybucji nadwyżek pomiędzy kraje potrzebujące.

Ustalono także wówczas, że świat prowadził zawsze deficytową gospodarkę aprowizacyjną, a jednocześnie 2/3 ludności we wszystkich krajach i państwach, biorąc ogólnie, pracuje w rolnictwie i te 75% nie może zapewnić ani sobie, ani reszcie ludności światowej wystarczającej ilości płodów hodowlano - rolnych. Wnioski, jakie wypłynęły z tych twierdzeń napawać mogły obawą dalszego pogłębiania się trwającego od dawna niedostatku wyżywieniowego na świecie. Jednocześnie jednak samo postawienie sprawy było najpomyślniejszym rezultatem tych konferencji, ujawniło bowiem jedną z najważniejszych trosk świata, o której się mówi powszechnie, że brak chleba niejednokrotnie wytyczał drogi historii, że nędza i głód — to największe zagrożenie pokoju.

ROK 1945.

Pierwsza inauguracyjna sesja F. A. O. z udziałem 48 państw, w tym i Polski, jako wynik konferencji z 1943 odbyła się w roku 1945. Warto podkreślić, że F. A. O. była pierwszą międzynarodową organizacją Narodów Zjednoczonych. Jak przedstawiała się sytuacja na świecie w dziedzinie aprowizacji w tym roku?

Był to rok zakończenia działań wojennych. Działał jeszcze ogólnie emocjonalny nastrój, wspólna radość ze wspólnego zwycięstwa, narkotyzowanie się powietrzem odzyskanej wolności w krajach, okupowanych przez terror hitlerowski, zapał do jak najszybszego odrobienia strat i szkód wojennych, górę brały akcenty współpracy, wyniesione z wspólnie przelanej krwi i wspólnie odbytych bojów. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z tego, że w różny sposób manifestowano na rzecz zdobytego pokoju. Nie chodzi nam o temperamenty narodowe, o naturalną ekspresję w wyrażaniu uczuć. Chodzi nam o to, że i w Europie i za oceanem świat pracy, robotnicy i chłopi manifestowali szczerze i bezkompromisowo, bo tylko pokój trwały i powszechny leży w interesie narodów. W roku 1945 milczały jeszcze te sprężyny gospodarki międzynarodowej, które w wojnie i bezładzie, w dysproporcjach i zamęcie widzą jedynie podatny klimat dla gromadzenia rabunkowych zysków i mnożenia swoich dobrze rentujących portfeli akcyjnych.

Świat zatem przeżywał okres powrotu do życia. Świat zastał zerwane sieci porozumień międzynarodowych, połamany kręgosłup przemysłowy w wielu krajach europejskich, zaniedbaną ziemię, braki w koniecznych do uprawy środkach i narzędziach, dezorganizację wreszcie całego życia gospodarczego przez okupanta i przez ciężki, krwawy walec wojny.

Dlatego w dziedzinie aprowizacyjnej sytuacja była znacznie gorsza niż przewidywano to w roku 1943 w Hot Springs. Ruszyła pomoc UNRRA. Nie była ona jednak zdolna zaspokoić wszystkich potrzeb głodujących krajów na świecie, tym bardziej, że ośrodki dyspozycji rozdzielczej nie były niemal od samego początku wolne od tendencyjnego oceniania priorytetu potrzeb dla poszczególnych państw. Ogólnie jednak pomoc ta w najcięższych dla wielu narodów chwilach stała się poważnym czynnikiem, wpływającym na czasowe choćby wyeliminowanie groźby masowego głodu i nędzy. Nie przyniosła jednak pomoc UNRRA oczekiwanych rezultatów, w wielu bowiem krajach nie doczekano się jej pomocy, przewidywany okres dostaw był za krótki na potrzeby świata, a zasady rozdziału i organizacja dostaw nie zawsze stały na wysokości zadania.

Rejestrując, że wojna i okupacja wpłynęły znakomicie na zmniejszenie obszaru pól uprawnych oraz na wydajność produkcji z 1 ha w krajach bezpośrednio dotkniętych skutkami pożogi, że możliwości nabywcze ludności i płatnicze tych krajów zmalały do minimum, że mimo tego podaż dóbr konsumcyjnych nie mogła zaspokoić bardzo silnie zmniejszonego popytu, musimy przypomnieć ,że wyjątkowo ciężka sytuacja gospodarcza zarysowała się w Chinach, Indiach i w konsekwencji klęski — w Japonii oraz u głównego sprawcy wojny — w Niemczech.

Jednocześnie jednak trzeba pamiętać, że w/g oficjalnych danych rok 1945 jest w dziedzinie zapasów, posiadanych przez główne kraje eksportcyjne, rokiem dalszego spadku zapasów zboża. W roku tym na eksport z USA, Kanady, Argentyny i Australii poszło 15,3 milionów ton samej pszenicy, powodując spadek zapasów łącznych do 22,4 milionów ton, wobec maksymalnego stanu, rejestrowanego w roku 1942/43, a wyrażającego się 45,5 milionami ton.

Żniwa w roku 1945 dały Europie niecałe 50% zapotrzebowania przedwojennego, a więc dla samej Europy, aby utrzymać poziom wyżywienia jej narodów, na poziomie z przed roku 1939, trzeba było około 30 milionów ton zbóż. Natomiast dla krajów pozaeuropejskich obliczano wówczas potrzeby minimalne w zakresie importu na 8—10 milionów ton wobec słabych urodzajów ryżu.

Między zapotrzebowaniem a jego realizacją jest różnica i w konsekwencji świat zakończył rok 1945 niewiele zmienioną sytuacją aprowizacyjną i bez większej nadziei na lepszy nowy rok zbiorów i urodzaju. Kraje rozpoczęły wewnątrz organizować się gospodarczo, licząc coraz bardziej na własne siły. W stosunkach międzynarodowych poczynają dominować układy bilateralne, dwustronne.

W walce o własny chleb dla samego siebie, w walce o lepszy byt zaczynają dominować państwa demokracji ludowej, wprowadzając wraz z gospodarką planową ład w odbudowie i rozbudowie, wprowadzając wyraźne akcenty sprawiedliwego i słusznego podziału dochodu narodowego.

ROK 1946.

W roku 1946 kłopoty aprowizacyjne świata mimo wielu wysiłków i postępującej odbudowy niewiele miały szans na zmniejszanie się. Sytuacja w Europie na odcinku zbóż chlebowych była nadal trudna. Przez całą Europę przechodzi fala dużych ograniczeń, wprowadza się system aprowizacji reglamentowanej. Ogólnie twierdzono w tym roku, że poprawa nastąpić może najwcześniej po żniwach w roku 1947.

Różnie wówczas oceniano potrzeby Europy w zakresie zbóż chlebowych. Jedni twierdzili, że deficyt zbożowy wyraża się cyfrą 30 milionów ton (John Boyd Or). Inni obliczali go na 12 milionów „celem zwiększenia normy żywnościowej dla 100 milionów ludzi w krajach wyzwolonych, dla likwidacji niedojadania, cierpień i chorób" (dane amerykańskie). Inni wreszcie stwierdzili, że Europa musi otrzymać conajmniej 15 milionów ton zboża, aby zapewnić minimum wyżywienia ludności europejskiej (dane angielskie). Poza tym obliczono potrzeby importowe w zbożu dla Chin, Indii i t. p. na 11 milionów ton, przy czym warto podkreślić, że ten wysoki import zbóż chlebowych przekroczyć miał czterokrotnie normalne zapotrzebowanie tych krajów w omawianym dziale. Ma to jednak swoje usprawiedliwienie przede wszystkim w dotkliwym spadku produkcji ryżu pomijając zasadniczą kwestię katastrofalnie niskiego poziomu wyżywieniowego ludów Dalekiego Wschodu i Afryki.

Gdybyśmy więc próbowali w bardzo pobieżnym szacunku określić zapotrzebowanie świata na zboża chlebowe, a raczej określić ilości konieczne dla załatania głodowego deficytu, to musielibyśmy się zatrzymać w przybliżeniu przy 34 milionach ton zbóż chlebowych. Przewidywany eksport obliczano na 23,7 milionów ton łącznie z głównych krajów eksportujących.

Obliczenia angielskie stwierdziły, że w roku 1946/47 potrzeby importowe świata będą mogły być zaspokojone w 75%, przewidywano zatem deficyt 8 milionów ton. W listopadzie ub. roku okazało się, że deficyt obliczać trzeba na 10 milionów ton zbóż chlebowych. Zaczęły działać tu ukryte sprężyny finansjery międzynarodowej, która zainteresowana jest w polityce wysokich cen i „pustych półek". Kapitalizm, zainteresowany w utrzymaniu swoich rentownych przywilejów, stara się prowadzić politykę aprowizacyjną, odpowiadającą ich własnym interesom. Jeżeli w USA zyski samych tylko kompanii mięsnych wynosiły w roku 1944 siedem razy więcej niż w okresie przedwojennym, to przyczyny i skutki zjawisk są jasne.

W roku 1946 zaczyna się zarysowywać już taka sytuacja, w której można twierdzić, że trudności w przełamaniu kryzysu żywnościowego świata, a zwłaszcza Europy **nie leżą w absolutnym braku żywności, ale w warunkach politycznych i społeczno - gospodarczych.**

Sygnalizowano już wówczas, że w samej Europie około 5 milionów ludzi może zdobyć się na zakup produktów aprowizacyjnych o wartości dziennej mniejszej niż 1500 kalorii, że w USA przeciętna dzienna wynosi 3.360 kalorii (przeciętna w tym wypadku oczywiście błędna, bo tam podział dóbr jest szczególnie rażący i nierównomierny), że połowa ludności świata wegetuje w warunkach podkonsumcji. Sygnalizowano wtedy zmniejszenie areału w krajach eksportujących o 24 miliony akrów i obracanie poważnej ilości zbóż chlebowych na potrzeby inwentarza żywego. Uporczywie odzywały się głosy, że w okresie postępu nauk rolniczych i techniki, przy rozwijającej się nauce o właściwych normach i sposobach odżywiania, istnieje najzupełniej realna możliwość wyżywienia świata. Z takimi troskami i myślami weszliśmy w rok 1947.

ROK 1947.

Rok ten przyniósł na wielu odcinkach ciekawe zjawiska. W dziedzinie nas interesującej odezwały się poglądy, które na podstawie suchej analizy statystycznej dowiodły, że na świecie praktycznie jest dosyć zboża na zaspokojenie minimalnych potrzeb obywateli krajów zniszczonych i głodujących („Nowoje Wremia").

Ale okazało się, że zboże to nie dociera tam, gdzie dotrzeć powinno oraz, że koncerny i kartele międzynarodowe dążą do utrzymania cen zboża na najwyższym możliwie poziomie. Stwierdzono bowiem, że np. w USA 4 miliony ton pszenicy ma być zużyte na paszę dla świń, że pszenicę pali się dla dla utrzymania cen (Argentyna) lub magazynuje jako rezerwy interwencyjne.

Jednocześnie rezerwy dolarowe w krajach potrzebujących albo się skończyły, albo są na wyczerpaniu.

I tu wchodzi czynnik trzeci — zboże jako jeden z instrumentów polityki imperialistycznej, który ma służyć do wywierania odpowiedniej presji politycznej na państwa, potrzebujące chleba, mięsa i tłuszczów. Instrument działa, gdyż w przydziałach eksportowych nie decydują realne potrzeby kraju, ale aspekt polityczny. W walce o suwerenność gospodarczą łamią się kraje zachodniej Europy, łamią się przed mitem dolara. Kraje demokracji ludowej, nie odrzucając zasady dobrych obyczajów w wymianie i handlu międzynarodowym, nie odtrącają żadnej okazji realnego układu handlowego, ale na żadne ograniczenie suwerenności gospodarczej pod presją dolara niewątpliwie nigdy nie pójdą. Cena wywalczonej niepodległości jest za duża na to, aby frymarczyć nią i puszczać na targ. Charakterystyczne jest zjawisko, powszechnie obserwowane w tych państwach. Zjawiskiem tym jest świadomość, ugruntowana w masach, że własną pracą i własnym wysiłkiem, że realnym osiągnięciem na polu gospodarczym zmusza się innych do szacunku i liczenia się z konkretnym potencjałem finansowym, przemysłowym i rolniczym.

Tadeusz Chróścielewski

Plewienie ogrodu krytyki

47-my numer „Kuźnicy" wyszedł pod znakiem Mickiewicza. Otwiera go fragment powieści biograficznej Mieczysława Jastruna o autorze „Dziadów" essay Leona Gomolickiego — „Droga do Rosji" (Mickiewicz i „przyjaciele Moskale"), studium egzegetyczne Wacława Kubackiego o tzw. „małej improwizacji", „Symbole i komentarze", wreszcie obszerna recenzja Gomolickiego o biografii Szypera — „Poeta i człowiek czynu". W sumie więc trzy (powieści nie liczę) rodzaje tradycyjnej krytyki historyczno-literackiej.

Literatura krytyczna w Polsce będąca w obiegu w ciągu 25-lecia przypominała istny „ogród nieplewiony", w którym, obok cennego dorobku naukowego Kleinera, Krzyżanowskiego czy Borowego, krzewiła się„ wsiakaja wsiaczyna".

Oswajany z nią sztubak wyższych klas wyobrażał sobie, że wiedza o autorze i dziele literackim, to tzw. „woda", a rozwiązywanie jakiegokolwiek zjawiska literackiego sprowadza się do stwierdzenia faktu, że „poeta ukochał..."

Wyrosły z tego sztubaka inteligent — niehumanista *zetknął się jeszcze* przypadkowo z paroma tradycyjnymi rozprawami uczonych w piśmie i w rezultacie uważał studia nad literaturą za coś mało poważnego.

Tradycje:

1) Moralistyczna szkoła Chrzanowskiego— kryterium oceny — temperatura uczuć patriotycznych i żarliwości religijnej autora.

2) Pokutujący od czasów Młodej Polski „psychologizm" — pojmowanie „geniuszu" jako ahistorycznej, wyrwanej z życia epoki transcendentalnej siły — cząstki Absolutu. W celu „badania" jej musiano zbudować, z natury rzeczy, fantastyczną psychologię „geniuszu". Pojmowała ona całokształt życia psychicznego autora, od urodzenia do śmierci, na obraz i podobieństwo stanu duchowego Konrada w momencie wygłaszania wielkiej improwizacji (z tego wynikał styl profetyczny krytyki). Biografia autora i jego dzieło to jedno.

„Precyzyjność" takiej metody jest widoczna choćby w ocenie twórczości Asnyka — uczynił to W. Feldman („Współczesna literatura", jako... ognistego wulkanu, ziejącego lawą.

Leżąca w założeniu spekulacja i odwrót od rzeczywistości i zdrowego rozsądku spowodowały m. in. rozprawę o „kopule wzniosłości" prof. Pigonia („Pan Tadeusz, wzrost, wielkość, sława"), w której autor uintelektualnia szczytowy utwór uwielbianego poety, wyposażając go w obcą mu problematykę.

Trzeba było dopiero szczutka, jaki wyciął geniuszomanom przekorny odbrązawiacz — Boy w „Obrachunkach fredrowskich", by przywieść ich do opamiętania.

Na odcinku interesujących nas w tej chwili badań nad dziełami Mickiewicza wielu adeptów tej szkoły „badało" z żarliwością rachmistrza ilości diabłów na łebku szpilki u schyłku scholastyki, czy wieszcz w swych „czterdziestu i czterech" miał na myśli Ludwika Napoleona, czy marszałka Józefa Piłsudskiego, lub kto to stał (a stać musiał koniecznie) z Mickiewiczem pod pomnikiem Piora W. — Puszkin, Rylejew czy zgoła kto inny?

3) Szkoła formalistów, zbłąkana, traktująca utwór niezależnie od epoki, uciekająca od problemu, widząca jedynie formę.

Z bieżącego numeru „Kuźnicy", widać, że ma się na znaczną poprawę „państwa duńskiego" naszej krytyki. (Było to również widoczne w posłowiu niedawnego zjazdu w Krakowie akademików polonistów, na którym młodzi referenci wiązali doświadczenia dotychczas abstrakcyjnego formalizmu z ujęciem socjologiczno-historycznym).

Autorzy świeżych rozpraw o Mickiewiczu 1) trzymają się w ocenie zjawisk ściśle wymowy faktów i rezygnują z problemów nieistotnych, nie dających się rozwiązać na płaszczyźnie naukowej.

2) Rozważania biograficzne zerwały z naiwnym utożsamianiem sytuacji literackiej z konkretnymi wypadkami z życia twórcy. Mają one ustalić sytuację społeczną i treść społecznej świadomości „homo artifex socialis".

3) Całość: analiza biograficzna i formalna — podporządkowana jest socjologicznej interpretacji zjawisk literackich.

Ze sztambucha „Kultury ludowej"

Ks. Antoni Dąbrowski, Wice-dziekan ostrowski i Proboszcz parafii Długosiodło, „Kazania i mowy przygodne", Warszawa, 1898.

Zapewne znaleźli się wśród was niechętni lub zupełnie przeciwni temu dziełu Bożemu, którzy utrzymywali, że budowanie nowego kościoła do nędzy ich przyprowadzi, lecz chciałbym widzieć choć jednego przez to zubożałego! Jakże oni godni politowania z powodu wstydu, jakiego doznają przy dzisiejszej uroczystości, bo o ile wszyscy się tu radujecie, o tyle oni przeciwnie smucą się za swą nieszczęsną oziębłość. Żal mi was wielce, a wierzajcie mi, że ta rana serc waszych dopóty się nie zagoi, dopóki hojniejszą ofiarą nie nagrodzicie dawniejszej swej grzesznej niedbałości.

Parafio Lubotyńska, ciesz się niewymownie, bo Ojciec wszelakiej pociechy wysłuchał głosy serc waszych i dozwolił wam, pomimo dzisiejszych twardych warunków, mieć swoją świątynię! Teraz już wasza pobożność w uczęszczaniu nie dozna owych przeszkód, jakie brak odpowiedniej świątyni wytwarzał! Lecz zapamiętajcie, że od dziś względem kościoła tego zaciągnęliście obowiązki, jako dzieci względem swej matki. Kościół ten bowiem będzie wam zawsze najczulszą matką i źródłem niewyczerpanym wszelkich pociech. Obyście dzisiaj dobrodziejstwa kościoła tak pojmować mogli, jak je oceniać będziecie w dzień sądu ostatecznego. Uczyńmy przypuszczenie, że kościół ten dotrwa dnia sądu straszliwego. W onej chwili na odgłos trąby Archanioła, umarli powstaniemy z grobów swoich, a wtedy wzrok nasz nie zatrzyma się na budowlach, ni na pięknych domach naszych, z których, żyjąc chlubiliśmy się, lecz widząc godło naszego chrześcijaństwa, jak niegdyś żydzi u Jeremiasza zawołamy:" „Kościół Pański, Kościół Pański!". Jam chrześcijanin a tu kościół Boga mojego! Oto chrzcielnica, gdziem wiarę świętą przyjął! Oto stół Pański, gdziem tylekroć Ciało Jezusowe spożywał. Oto konfessyonały, gdziem winy swoje wyznawał! Oto ambona, z której słowa Bożego słuchałem! I ze czcią głęboką pochylą się czoła przed świątynią Bożą i wypełnią się serca wdzięcznością największą. O zaiste, nie czekajmy bracia drodzy, onej chwili ostatecznej, by ocenić dobrodziejstwa naszego kościoła, lecz teraz za życia okazujmy mu największe przywiązanie i uległość! Naśladujmy ojców naszych, którzy w kościołach czerpali owe wspaniałe natchnienia do wszelkich czynów swoich! Na łonie Kościoła katolickiego rodzili się oni, żyli i umierali i kościół ten za duchowną a drogą ojczyznę sobie poczytywali.

FAKTY I ZDANIA

Intelektualiści katoliccy

6 numer „Znaku" opublikował właśnie artykuł „wybitnego myśliciela katolickiego", jak to lojalnie zaznaczono w przypisie, Jean'a Danielou, zatytułowany „Chrześcijanin wobec marksizmu". Pisma katolickie położyły już niewątpliwie poważne zasługi na polu erystyki, artykuł Danielou jednak stanowi w tej dziedzinie wręcz rewelację. Tak doskonale metafizycznych argumentów nie używa nawet sam Jerzy Braun. „Przypominają nam rolę materii w życiu człowieka; przypominają nam uwarunkowanie ekonomiczne cywilizacji — zgoda. Zwracają nam uwagę na to, że nawet religie w swojej strukturze noszą piętno warunków ekonomicznych, w jakich powstawały; rzecz oczywista. Wiemy doskonale, że chrześcijaństwo ciągnie za sobą ślady struktury feodalnej. Hervé nam to często przypomina — i nie bez słuszności. Lecz gniewa nas, gdy ktoś utożsamia te martwe powłoki z rzeczywistością chrześcijańską. Materializm, choćby nawet dialektyczny, jest rozwiązaniem przeraźliwie ciasnym. Jak pisał niedawno O. de Lubac: "Materializm historyczny jest jedną z prawd podstawowych, których oczywistość sama rzuca się w oczy: lecz staje się całkowicie bezużytecznym, gdy trzeba wniknąć w serce rzeczywistości". (La Connaissance de Dieu, str. 16). Któż uwierzy, że religia Pawła to echo warunków ekonomicznych jego epoki, że Mahomet czy Budda dadzą się wytłumaczyć przez ustrój kast lub plemion koczowniczych?"

„Materializm historyczny jest jedną z prawd podstawowych, których oczywistość sama rzuca się w oczy". Pięknie, dlaczegóż więc O. de Lubac nie jest marksistą? Przeszkadza mu w tym „serce". I to nie byle jakie serce: „serce rzeczywistości". A cóż my biedni wobec tak groźnego organu?

Jean Danielou woła tymczasem: „Któż uwierzy, że religia Pawła to echo warunków ekonomicznych jego epoki?"...

Czcigodny panie Danielou, lepiej przygotować się na najgorsze. Po historii wszystkiego można się spodziewać. Skoro uwierzono w Boga...

Lech Budrecki

Czy i to jest pisarstwo katolickie?

W 45 (102) numerze „Dziś i Jutro" zamieszczono na czołowym miejscu fragment nowej książki Papiniego („Listy papieża Celestyna VI do wszystkich ludzi"). Jest to list do poetów.

Nazwisko Giovanniego Papiniego należy do głośniejszych nazwisk 20-go stulecia w literaturze, zaś jego twórczość nosi w sobie znamiona epoki, której początek końca oglądaliśmy w latach minionej wojny. Papini odbył bardzo ciekawą i dość typową ewolucję. W młodości swej był autor „Zmierzchu filozofów" sceptykiem i potrosze anarchistą. Należał do grupy włoskich futurystów. Po pierwszej wojnie światowej stał się z ironicznego wolterianina wierzącym katolikiem, marzył o nawrocie do średniowiecza. U źródeł drugiej przemiany Papiniego znajduje się William James ze swą filozofią pragmatyzmu i teoriami o „Will to Believe" („wola wiary"). W swym studium pt. „Od człowieka do Boga" wyznaje Papini, że przyjął tezę Jamesa: „ryzyko wyboru aktywnego należy przekładać ponad wybór pasywny, w którym tai się zasada sceptycznej lub agnostycznej bezczynności". Nic więc dziwnego, że przystąpił do ruchu, który był aż nazbyt aktywny. Zapewne i dziś pozostał Papini wyznawcą tej tezy. Wystarczy przeczytać list papieża Celestyna, by przekonać się o tym. Między „Pamiętnikami Pana Boga" a ostatnią powieścią Papiniego nie ma żadnej przepaści. Pisał Papini, że idee Jamesa należą do tych, które najbardziej ożywiły i zapłodniły myśl współczesną. Zapłodniły ją aż nadto! Łatwo było Papiniemu przejść poprzez pragmatyzm Jamesa do faszyzmu i wraz z d'Annunziem stać się duchowym przywódcą „nowego ładu". Znamy wiele wypadków tego rodzaju. Dość wspomnieć tutaj Maurras'a i Hamsuna, a z **naszych wykolejeńców Łobodowskiego.** Jednak Papini nie jest **wykolejeńcem:** w jego książkach, od pierwszej do ostatniej, łatwo jest wyśledzić ciąg ewolucyjny od anarchizmu do faszyzmu.

Casus Papini posiada na naszym terenie specjalny charakter. Katoliccy intelektualiści od długiego czasu prowadzą kampanię w sprawie tzw. pisarstwa katolickiego. Szukają też pisarzy o głośnych nazwiskach, dużym autorytecie, którym by mogli przypisać określenie katolickich. Jakoś im się to nie udaje. Mauriac i Bernanos nie wystarczają. Nie są przy tym zupełnie ortodoksyjni. Ostatnio jako pisarz katolicki wypłynął Papini. Nic to, że ciąży na nim najgorsza zbrodnia ideologiczna: faszyzm. Zapomniano o tym. Powiedzmy sobie prawdę: literatury katolickiej nie ma! Dziś istnieją tylko dwie literatury: literatura postępu, literatura nowego człowieka, człowieka, którego narodziny widzieliśmy w tragicznych dniach minionej wojny, literatura par excellence demokratyczna, literatura Steinbecka, Szołochowa i Rudnickiego oraz literatura wstecznictwa i kłamstwa, literatura próżni ideologicznej. — Jeśli już koniecznie chcecie mieć literaturę katolicką, to szukajcie jej gdzie indziej, ale nie u Papiniego. Zresztą najlepiej będzie, gdy ją schowacie czym prędzej pod sukno, inaczej zawsze będzie ona straszyć widmem Torquemady.

Zdzisław G. Spieralski

„Ktoś zacz?"

„Jesteśmy katolikami... Jesteśmy Europejczykami... Jesteśmy Polakami..."

Zespół „Dziś i Jutro" z Janem Dobraczyńskim i Bolesławem Piaseckim na czele tak określa swoją postawę filozoficzno - społeczną z okazji jubileuszu tego pisma.

Niewątpliwie ogromne te słowa zawierają pewną treść przekonań i postaw. Nie każdy zdobyłby się na odwagę tak grzmiących wyznań. Bo choć wielu z nas w Polsce urodziło się w katolickich rodzinach, z elementarza szkolnego dowiedziało się o narodowości („Kto ty jesteś? Polak mały!"), w gimnazjum uczyło się odróżniać na globusie Europę od innych części świata, jednak nie każdy bije się w piersi, aż dudni i nie każdy woła: Jestem katolikiem, jestem Europejczykiem, jestem Polakiem. A to z tej przyczyny, że nie są to stwierdzenia takie, jakie się czyni w urzędzie meldunkowym o wyznaniu i przynależności państwowej. Za tymi danymi z książki meldunkowej, gdy się je wypisuje jako hasła jubileuszowe, kryje się określona ideologia.

Nie, nie próbuj przekładać na język działacza zwrotów o tym, że trzeba żyć w Łasce i wychowywać innych w świetle Łaski. Nie zarzucaj nabytego dzięki dostępnej ci wiedzy nawyku myślenia historycznego po to, aby zrozumieć, jak to możliwe, że jedna religia katolicka powstała poza czasem i poza przestrzenią i pozostaje ta sama „dla wszystkich epok, które były i będą". Nie dociekaj, jakie to starcia mają się dokonywać między rewolucyjnymi kierunkami w tym momencie, gdy świat tak wyraźnie dzieli się na dwa obozy, przecież nie oba rewolucyjne.

Na wyspach Holenderskich giną nie-Europejczycy, w Indiach i Egipcie robotnicy i chłopi mrą z głodu i chorób, najbardziej europejska Grecja jest terenem rozgrywki międzynarodowej, w Ameryce czarni nie-Europejczycy są pogardzani, linczowani i niewolni. Nawet „Papież i Hierarchia" nie stroni od rozgrywek politycznych i umieszcza swe kapitały w bankach amerykańskich, nie-europejskich. A nam poprzez ciężkie lata wojny z faszyzmem przypomina się niezburzona jeszcze, piękna Warszawa, w której na każdym rogu rozlegał się krzyk: — „Europa dla Europejczyków! Polska dla Polaków! Palestyna dla Żydów!".

Stawiając sobie konkretne zadania do spełnienia nie w „nowym", oczekiwanym świecie, ale w świecie aktualnym i realnym, zadania gospodarcze i kulturalne, bądźmy skromni, wstydźmy się gromkich słów! Choćby dlatego, aby nie przywoływać przykrych wspomnień.

Paulina Czyżowa

Dziś - jeszcze nie

Z artykułu Juliusza Nowak-Dłużewskiego w 105 numerze „Dziś i Jutro" („O typ kultury przyszłości"):

„Dzisiejsza tendencja kulturowa w Europie, szablonowa, nakładająca jednakowy pokost na każdego członka społeczności duchowej jest pogwałceniem naturalnej różnorodności, wykreślonej przez rzeczywistość. Urbanizacja jest gwałtem przeciw prawom natury".

„Ten zwrot do źródeł wszelkiej kultury narodowej, do ludu, ludu nie z wielkich skupisk wielkomiejskich, ale do ludu wiejskiego, związanego od wieków i zawsze z ziemią i jej prawami..."

Z artykułu redakcyjnego w tym samym numerze „Dziś i Jutro" zamieszczonego na pierwszej stronie, dużym drukiem, w ramkach („Wytyczne"):

„Nie możemy być w pełni zadowoleni z wyników wysiłku twórczego nas wszystkich, którzy uważamy się za katolików. Twierdzimy, że za mało, ciągle za mało mamy dokonań intelektualnych, kulturalnych i programowo wychowawczych; że nie wszystkie możliwości zostały wykonane. Zmiana tego stanu rzeczy staje się jednym z podstawowych obowiązków, jakie ciążą na nas w chwili bieżącej".

Istotnie, z poglądem redakcji „Dziś i Jutro" należy się zgodzić, zwłaszcza po przeczytaniu cytowanego wyżej artykułu Dłużewskiego. Dla zadośćuczynienia prawdzie jednak mała poprawka: za mało, ciągle za mało dokonań intelektualnych i kulturalnych, (może będą jutro?), lecz dokonań programowo wychowawczych na modłę ideologii artykułu Dłużewskiego — chyba dosyć.

J. S.

Podróż po szosach bez drogowskazu

Bardzo interesuje mnie teatr. Bardzo chętnie czytam krytyki teatralne i zawsze chciałam się dowiedzieć, jak powinna wyglądać dobra recenzja. Nareszcie wiem — nauczył mnie, rozjaśnił „mroki moich źrenic" Edward Csató z Nowin Literackich, który wrócił z podróży po Polsce i natychmiast napisał wzorową krytykę przedstawień, które obejrzał.

„Zanim zasiądę do pisania, zaczynam — powiedzmy — myć ręce" — zwierza się wielki krytyk. I myje te ręce i myje, przelewa „pianę mydlaną z dłoni do dłoni", zastanawiając się przy tym, czy takie mycie nie dowodzi niepowodzeń zakochanego, którego „zmęczyły przykrości, jakie zgotowała mu miłość". Nic dziwnego — „pełna dystansu oschłość" krytyka pozwala tylko „troszeczkę poflirtować z aktorkami", a on chciałby więcej... I dlatego snują się „rozważania długie, złe i smutne o nędzy i niedorzeczności wszelkich w ogóle uczuć", które niewątpliwie, mówiąc słowami autora, mają znaczenie bardziej ogólne: zapełniają doskonale szpalty tygodników, cierpiących chronicznie na brak materiału.

„Pisząc nasze recenzje — żali się krytyk doskonały—przemierzamy tysiące szos, na których jakiś złośliwy diabełek poprzestawiał drogowskazy." Cóż więc dziwnego, że otumaniony taką wędrówką recenzent zapomina wreszcie, od czego zaczął, a przede wszystkim, na czym i kiedy skończy... Ale to nie ważne, bo „krytyka teatralna jest zajęciem nie naukowym, lecz artystycznym", więc musimy ją cechować" brak porządku i usystematyzowania". Dlatego też nie trzeba kończyć studiów wyższych, aby zostać wzorowym recenzentem, wystarczy pojechać w podróż dookoła Polski, czasami bez drogowskazów, a potem cierpliwie i z namysłem myć ręce przez 20 minut. Oto recepta.

Czytelnik zaś „przerzucający skondensowane artykuliki" dowie się, jak „rozniecać w sobie nowe żary" po momentach silnej depresji, w jakie wpada już po paru wierszach, wzorowej krytyki.

Podobno: „dopóki jest pasja, jest i nadzieja"... Nie!! Jest pasja, ale nie ma nadziei — na krytykę teatralną p. Csató.

Alina Nofer

Skąd to u Frasika?

Miło nam, że tzw. „czołowe pisma literackie", tym razem „Nowiny" (nr 37), dają miejsce poetom i krytykom „chłopskim". Twórczość Frasika niewątpliwie warta jest omawiania. Ale tym razem należy stanąć w obronie poety, którego krytyk nasz niesłusznie ośmiesza.

Stwierdziwszy, że „poezja Frasika wywodzi się z tych samych źródeł, co artystyczna pieśń ludowa, posiada podobną, niemożliwą do skutecznego naśladowania oryginalność, jak jakieś ludowe *„czerwone jabłuszko"* — krytyk, Stanisław Czernik przyrównuje dalej Frasika do Lenartowicza. W dalszej kolejności okazuje się, że ludowa poezja Frasika jest także klasyczna („nie ten „pseudo", lecz renesansowy" klasycyzm), bowiem łączy rzymską ścisłość z grecką fantazją. Renesansowa, „przedbarokowa prostota i czystość" Frasika jest więc „renesansem renesansu". „To dosyć niespodziewane w naszej poezji". Dalej Frasik zestawiony zostaje jednym tchem z Petrarką, Ronsardem, Kochanowskim (Treny) i Sępem Szarzyńskim (sonety). Tak powstaje ucieszny szereg genetyczny: wszystko oczywiście jak grzech pierworodny zaczyna się od „czerwonego jabłuszka", potem kroczą kolejno: Lenartowicz, Petrarka, Ronsard, Kochanowski, Szarzyński i jeszcze Krasicki — i — Frasik.

„U nas zresztą — pisze krytyk — nikt nawet nie próbował iść w ślady renesansu Kochanowskiego..." pierwszy Frasik i „nikt nie rozumiał istoty stylu renesansowego w poezji"... pierwszy Czernik.

„Skąd to więc u Frasika?" — nie wiemy. Ale skąd to u Czernika? — wiemy dobrze.

Paulina Czyżowa

Dłubanie w zębach

Przysłowie powiada, że „czym skorupa od nowości nasiąknie, tym na starość trąci". I zupełnie słusznie. Ludzie wychowani w dawnej tradycji, jeszcze dziś pragnęliby młodzież chłopską według tych przestarzałych wzorów wychowywać. Wzory owe przypomniały się obecnie pewnej pani urodzonej z szlacheckim herbem na czole, byłej dyrektorce gimnazjum żeńskiego. „Dostojna" ta pani mimo podeszłych już lat zna jeszcze dobrze obyczaje dworskie, wszelkie formułki towarzyskie i licho wie, jak się to jeszcze nazywa? Pono „dobrym wychowaniem". Tak to nazywa owa szanowna dyrektorka i na ten temat napisała pracę do druku. Niedługą, bądź co bądź jest tego piętnaście stron maszynopisu przeznaczonego na „pożyteczną" broszurę dla Uniwersytetów Ludowych. Mnie zaś jako pisarzowi chłopskiemu powierza zaszczytną „misję" wyszukania i zjednania wydawcy na tę „wychowawczą" pracę.

Odłożyłem list i zabieram się do przeglądania przysłanej pracy. Tytuł brzmi: „Zasady dobrego wychowania." Dedykacja: „Braciom i siostrom ze wsi."

A treść: wśród rozmaitych wskazówek znajdują się i takie „Pamiętajmy tylko, żeby chodzić prosto, nie stawiać stóp do środka i nie rozstawiać szeroko kolan, gdy siedzimy".

Zaprasza się gości na obiad, podwieczorek, kolację na kilka dni naprzód, aby zaproszeni mogli ułożyć swoje interesy i osobiste sprawy. Zaprasza się pisemnie, telefonicznie lub osobiście wtedy, gdy chodzi o dostojniejsze osoby.

„Rozsadzanie gości przy stole jest nieraz rzeczą kłopotliwą, żeby nikomu nie ubliżyć, żeby osoby dostojniejsze siedziały wyżej od młodzieży."

„Dłubanie w zębach jest rzeczą nieprzystojną. Jeżeli są wykałaczki na stole, można zasłoniwszy ręką dół twarzy wyjąć prędko jedzenie."

„Na zabawie prywatnej trzeba przede wszystkim przetańczyć najpierw z panią i z panem domu, a potem po kolei ze wszystkimi obecnymi paniami".

„Nie siadać do stolika, kiedy się nie ma pieniędzy, lub gra dla nas jest za wysoka".

Uprzytomniłem sobie, że to trochę za mało, że oprócz tej „świeckiej" broszury — podręcznika — przydałaby się broszura pouczająca młodzież, jak należy „Kościołowi dziesięcinę wiernie oddawać" i trzecia: „Manifest Lipcowy — to wołająca o pomstę do nieba straszna krzywda magnatów i fabrykantów"

Tak to powinno iść w parze — **te trzy wzory wychowania** powinny być rozpracowane w Uniwersytetach Ludowych. Bo jakżeż inaczej? Jak już uczyć po dawnemu — to należy być konsekwentnym i realizować wszystkie wskazania średniowiecza.. Zaapelować na raz do kilku byłych pań dyrektorek i panów dyrektorów z szlacheckiego rodu, by według własnych gustów broszurki napisali. Nicźle by też było ostemplować owe broszurki znaczkami z dopiskiem: „Na pomoc średniowiecza". No i odpustami też przyłożyć. Tak szczodrze, po trzysta dni za jednorazowe przeczytanie.

Chodziłoby tylko o wydanie tych prac. No i o pośrednika też, bo ja już staję okoniem i ani rusz! — nie przyłożę ręki do tego „pożytecznego" dzieła. Na taki kawał nie naciągnie mnie nawet znajoma pani dyrektorka. Wolę już, by przyszli wychowankowie Uniwersytetów Ludowych jak bądź dłubali w zębach, niech bez forsy siadają do kart, niech tańczą „nieprzepisowo", niech sadzają przy stole osoby, jak im się żywnie podoba niżej, wyżej lub równo, niech nawet na obiad zapraszają wtedy, gdy woda na jałowy żur zaczyna już kipieć w garnku, niech wcale nie kichają przy jedzeniu, niech stawiają stopy w czasie chodzenia, jak im najwygodniej, — Niech będą nieokrzesani, niech będą pokraczni, ale przynajmniej nie zarażeni wstecznictwem szlacheckich wzorów wychowania — będą wartościowymi ludźmi, świadomymi swych celów życia... Wtedy prędzej zaświeci nam słońce.

Post scriptum:

Nie jestem zupełnie przeciwny ukazaniu się tej broszury, ale dlaczego dla Uniwersytetów Ludowych?

Czyżby w tej formie chciała iść ze spóźnioną pomocą starym Tulowcom przeciw „Drogowskazom" Króla?

Józef Pogan

Gimnazjum dla dorosłych ZMW „Wici"

Na skutek licznych zapytań napływających z terenu Dyrekcja Korespondencyjnego Gimnazjum dla Dorosłych Z.M.W.R.P. „Wici" (Łódź, Al. Kościuszki 45 — podaje do wiadomości, że z powodu ciągle napływających zgłoszeń **przedłuża termin zapisów do 1.I. 1948 r.** (do wszystkich klas).

Bliższe informacje są w Regulaminie Gimnazjum (otrzymać można w Sekretariacie). Całoroczna opłata wynosi 2.100.— zł. Uczniowie otrzymują za tę sumę podręczniki lub zastępujące je skrypty ze wszystkich przedmiotów. Język obcy do wyboru: francuski lub niemiecki. Rok szkolny trwa 8 miesięcy, po czym uczniowie składają egzamin, otrzymując w razie pomyślnego wyniku zaświadczenie równoważne zaświadczeniom w normalnych szkołach państwowych.

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.—zł, kwartalnie 120.—zł, półrocznie 240.—zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—017872